PRZEGLĄD

POZNAŃSKI.

PISMO MIESIĘCZNE.

Poszyt I.

MIESIĄC STYCZEŃ.

1847.

POZNAŃ.

CZCIONKAMI W. STEFAŃSKIEGO.

IMPRIMATUR.

Poznań, dnia 31. Grudnia 1846.

Czarnecki, Cenzor.

Katedra Słowiańskiéj literatury we Francyi.

I.

Katedra Słowiańskiéj Literatury założona przez rząd francuzki, miała piękne, rozległe i zbawienne powołanie. Słowianie wszędzie ograniczeni, pozbawieni swobody przedstawienia niepodlegle swoich umysłowych dążeń, swojéj czysto naukowéj historycznéj przeszłości, odbierali największe dobrodziejstwo — mogli wyraźnie przedstawiać swoje wszystkie widoki, zrozumieć, zgłębić swoje jestestwo, pokazać je oświeconéj Europie, ogólnie mającéj o Słowiańszczyznie ciemne, fałszywe i niepewne mniemania. Była to prawdziwa potęga, która użyta rozumnie, umiejętnie, mogła posuwać, przyspieszać ich umysłowe wykształcenie. Katedra dawała zaspokojenie ich najpierwszym, ich najgwałtowniejszym potrzebom. Rossya, Prussy naśladowały szczęśliwe to wznowienie. Powstały katedry, poświęcone głównie wykładaniu słowiań-

skiéj literatury, która odtąd zajmuje miejsce poważne, europejskie, na jakie dotąd przez własne natchnienie wejść nie mogła.

Katedra w Collège de France została powierzona Mickiewiczowi. Jego świetna poetycka przeszłość usprawiedliwiała wybór. Twórca Grażyny, Wallenroda, Pana Tadeusza, krymskich Sonetów — miał być tłómaczem polskiéj i słowiańskiéj myśli, objawicielem sił i natchnień, które nasz duch we swoich jeszcze nierozwidnionych głębokościach ukrywał. Mickiewicz na katedrze niepodległéj, niezwiązanéj niczem, wzbudził najżywsze, najniespokojniejsze oczekiwanie, chociaż zaraz, a przynajmniéj po pierwszych wyrazach z katedry, powstało wątpienie, czyli posiada wiadomości konieczne rozległemu, umiejętnemu, nadzwyczajnie ważnemu wykładowi; czyli ma wewnętrzne duchowe przysposobienie — zrozumieć, wytłómaczyć polskie i słowiańskie piśmiennictwo. Obawy się ziściły. Mickiewicz zawiódł oczekiwanie. Nikt bardziéj od nas nie ceni jego gorącéj duszy i wzniosłego natchnienia, nikt większéj sprawiedliwości nie oddaje wysokim myślom jakie tu i owdzie w prelekcyach się napotykają, ale przyznać musimy, że czego innego spodziewała się europejska publiczność. O ile wpływ Towiańszczyzny zwichnął kierunek professora, nie tu pole rozbierać, bąć co bąć, wykład coraz odmienne przez cztery lata przechodził fazy, i w końcu rząd odebrał nauczycielstwo Mickiewiczowi. W téj epoce katedra straciła była urok, który ją przy jéj założeniu otaczał; tak dalece, że jéj na nowo otworzyć już nie miano. Postawiony na pierwszém miejscu, wsparty powszechném uwielbieniem, mający powierzone najdobroczynniejsze działanie na umysł Słowian i Europy, — Mickiewicz zmarnotrawił swoje powołanie, poniżył nas przed obcymi, którym, jako mówiono, najpierwszy, jenialny między Słowianami, cóż przedstawił? Mimo najprzyjaźniejszych usposobień dla Mickiewicza, usprawiedliwić go nie zdołamy. Przezeń katedra straciła swoje pierwsze znaczenie. Przezeń, do umysłu Europy, weszło o Polsce, o Rossyi, o Słowianach najdziwniejsze zamie-

szanie. Przezeń złamała się, może zniknęła potęga, która nasze piśmiennictwo, nasze duchowe życie wykształcać mogła.

Mimo oznajmienia, że katedra zamkniona być ma, rząd francuzki polecił jéj otworzenie. Lecz wszedł do niéj, nie Polak, nie Słowianin, ale cudzoziemiec, Francuz, który chociażby posiadał wszystkie wiadomości, miał najżyczliwsze skłonności, znajdzie ogromne przeszkody do zrozumienia ducha Słowianizmu. Rząd francuzki ani Polakowi, ani Słowianinowi zaufać nieśmiał. Pan Cyprian Robert, autor dzieła o *Słowianach w Turcyi*, zdawało się, że znał piśmiennictwo Słowian, że pojmował ich społeczne i polityczne urządzenie, że podzielał ich nadzieje, szanował ich dążenia. Pokazaliśmy sami atoli, że Pan Cyprian Robert przy najtrafniejszych dostrzeżeniach, często przy najszczęśliwszém odgadywaniu, przeczuwaniu umysłu Słowian, uważa niestósownie najważniejsze pytania, podsuwa widoki fałszywe, sprzeczne naszéj przeszłości, naszym dążeniom, naszemu duchowi. Pan Cypryan Robert nie poprawi, nie sprostuje zboczeń Mickiewicza — niema przygotowań, niema sił koniecznych ku swemu trudnemu, wielkiemu powołaniu. Katedra Słowiànska w Collège de France jeszcze niedostała swego człowieka, a pragniemy najżywiéj, aby dostać mogła. Pan Cyprian Robert wprawdzie mówi: „Europa o różnych narodach Słowian ma pojęcie bardzo powierzchowne, a często fałszywe.“ (1) Jest to prawda. Ale z tego, co dotąd Pan Cyprian Robert drukiem ogłosił, nie śmiemy mieć nadziei, czyli sam Europie o Słowianach udzieli wyobrażeń gruntowniejszych i prawdziwszych. Pan Cy-

---

1) Revue de Deux Mondes, 15. Marca 1846. Nasz sąd o wykładach Pana Cypriana Robert opieramy nie na tém co mówił z katedry, ale na tém, co przez *Revue de Deux mondes* ogłosił. Słów mówionych mogliśmy właśnie niezrozumieć. Słowa mogłyby być zaprzeczone, umiarkowane, odwołane. P. Cyprian Robert ogłosił cztery rozprawy: Revue de deux Mondes 1. Listopada 1844. — 1. Luty 1845. — 15. Stycznia i 15. Marca 1846. r. Na tych rozprawach opieramy nasze twierdzenia.

prian Robert, jako widno, jest dosyć i szczery i szlachetny, nie ukrywa sobie swojéj niemocy, jest sam zdumiony swojém nauczycielstwem, „powołaniem dlań nowém i niespodziewaném.“ Niezaprzeczā, że bez stosunków, których przewidzenie nie było podobne, nigdyby niebył widziany na téj katedrze, że jego miejsce i jego powinności były gdzie indziéj. (2) Ubolewać należy przeto, że Pan Cyprian Robert przyjął powołanie dlań *nowe i niespodziewane*, że zaniedbał swoich istotniejszych, swoich prawdziwszych powinności. Katedra Literatury Słowianskiéj nie jest dlań miejscem. Pan Cyprian Robert niedługo pierwszy nagani swoje dobrowolne złudzenie, ale naówczas, kiedy pozna, że zawiódł swoje własne życzenia, że najgorzéj usłużył narodom, dla których ma szlachetne, a może sztuczne uwielbienie. Można być podróżnikiem uważającym trafnie, przyjmującym szczęśliwe wrażenia; można kreślić świetne, ujmuiące opisy, odpowiednie nawet swemu wzorowi. Lecz to niewystarcza, aby piastować nauczycielstwo Słowian, aby być objawicielem ich myśli. Na to trzeba gruntowniejszych, poważniejszych przygotowań, i Pan Cyprian Robert sam o sobie, o swoim wykładzie powiedział wszystko, skoro wyznał, że katedra we Francyi jest to dlań powołanie nowe i niespodziewane. Nadeń samego, przeciw niemu samemu, surowsi być niechcemy. To, co powiemy, pokaże, że moglibyśmy być surowszymi. Pan Cyprian Robert winszuje sobie, że niechciał wejść do katedry, póki nieotrzymał zezwolenia, upoważnienia Mickiewicza. I rzeczywiście, Pan Cyprian Robert pod względem najważniejszym powtarza, naśladuje, nawet rozszerza Mickiewicza. Przy pomysłach często pięknych głosi najfałszywsze, najszkodliwsze mniemania.

---

2) . . Carrière nouvelle et inattendue pour moi. Sans des circonstances impossibles à prévoir, je n' aurai jamais paru dans cette enceinte. Ma place et mes dévoires étaient ailleurs. Spowiedź zaiste naiwna i zupełna. Tylko po niéj, do katedry wracać nienależało — 15. Stycznia 1846.

II.

Przedstawiamy główniejsze, stanowcze, to, co sam Pan Cyprian Robert uważa jako swoje ogólne widoki, jako swoje naczelne przekonanie.

Katedra we Francyi, poświęcona wykładowi słowiańskiéj literatury, jakie właściwie ma, mieć powinna przeznaczenie — a przez pojęcie literatury rozumiemy wszystko, cokolwiek wydała narodowa wiedza, cokolwiek stworzyła narodowa historija — zupełne obiawienie myśli — wszystkie jéj dzieła. Literatura jest to całość, — umysłowa, jedna, nierozerwana, żyjąca. Katedra przeto miałaby przeznaczenie, pojmować i przedstawić Słowianizm, jako Słowianizm sam siebie historycznie pojmował i przedstawiał, jako sam rozwinął i wykształcił swoje jestestwo. Katedra ani wyżéj sięgać, ani niżéj spadać niepowinna. Europa jeżeli chce nas, nasze piśmiennictwo zrozumieć, powinna wejść do nas, wstąpić do naszéj duszy. Inaczéj, miałaby o nas sny jedynie, często, jako mniema Pan Cyprian Robert, bardzo powierzchowne i fałszywe wyobrażenia. Praca trudna, ogromna, rozległa, delikatna, religijna, do któréj spełnienia cudzoziemiec, choćby ożywiony był najpiękniejszemi życzeniami, niema pierwszych, koniecznych usposobień. Aby to, cośmy przez piśmiennictwo stworzyli, zrozumieć, właściwie, pięknie przedstawić, trzeba mieć nasze serce, nasze nadzieje, nasze cierpienia, nasze życie. Takie przedsięwzięcie wymaga najszczęśliwszych, najrzadszych zdolności.

Pan Cyprian Robert, mimo swojéj głośno, a przypuszczamy, szczerze zapowiadanej miłości ku Słowianom, ku ich narodowości, bardzo odmienne powołanie naznaczył sobie, swemu wykładowi, swojéj katedrze. Zaledwie moglibyśmy wierzyć takiemu dziwnemu, takiemu fatalnemu złudzeniu. Pan Cyprian Robert pokazuje je wyraźnie, najmniejszych niezostawia powątpiewań, że ztéj katedry Europa Polski i Słowian niepozna. „Ta katedra powinna zmierzać ku ogólnym widokom, obejmować różne względy słowiańskie, ale, o ile można, pano-

wać nad niemi — poddać je wszystkie względowi europejskiemu — dać światu formuły." Pan Cyprian Robert jedynie jako Francuz ma oceniać zdarzenia — zachowa obojętność czyli neutralność — niechce mieć ani polskiéj, ani rossyjskiéj myśli — jedynym dlań kierunkiem być ma — opinija liberalna i interes Francyi, wzniesiony nad wszystkie drobności narodowe słowiańskie; będzie oceniał, rozbierał samo czyste słowiańskie pytanie. 3)

Jeżeliby przeto wynurzono życzenie, aby katedra we Francyi pojmowała Słowian, jako Słowianie samych siebie pojęli; aby przedstawiała nasze piśmiennictwo, jako je nasz duch przedstawił, aby pokazała nasze dzieje, jako je sami historycznie pokazaliśmy — Pan Cypryan Robert grzecznie czyli dumnie odpowiada, to jest śmieszność, to jest niepodobieństwo, to są niedorzeczne wymagania. Ja jestem Francuzem — ja wasze względy poddam względowi europejskiemu, będę panował nad niemi. Ja niepotrzebuję być kierowanym i natchnionym przez wasze pojęcia, przez wasze przekonania. Mojém natchnieniem będzie liberalna opinija — interes Francyi. Po takich zapo-

---

3) Cette chaire doit tendre aux géneralités, embrasser les divers pointes devue slaves, mais autant que possible, les dominer tous, les subordoner tous au point de vue européen. C'est comme français que je compte esquiser les évenemens — notre seul guide a nous, sera l'opinion libérale et l'intérêt de la France. — rester dans la question pure slave. Coby powiedziano, gdyby jaki nauczyciel, jaki francuz, ze stanowiska opinii liberalnych i francuzkich interessów, oceniał, pojmował, naprzykład piśmiennictwo greckie, niemieckie, angielskie! Taki nauczyciel rozbudziłby śmiech powszechny. Co znaczyć ma — question slave pure — na to nie mamy pojęcia. Czysto słowiańskie pytanie, czysty, ogólny słowianizm — jest to nic. Dotąd czysty ogólny Słowianizm, politycznie, historycznie, naukowo nie istniał; że istnieć może cała, związana Słowiańszczyzna, przypuszczamy, wierzymy, ale jest to wiara jedynie, dążenie dalekie. Rzeczywistości, życia niema. Słowiańszczyzny jako Słowiańszczyzny historija nieznа. Słowiańszczyzna objawiła się i dotąd objawia przez swoje narodowości, przedzielone wielkiemi różnicami, niepojednanemi. Rozbierać czysto słowiańskie pytanie, jest to czczość, to, co nigdy życia niemiało.

wiedzeniach, najłatwiéj przewidzieć, jakie dobrodziejstwo przyniesie Słowianom katedra we Francyi. Cypryan Robert przyrzeka neutralność między polskiemi i rossyjskiemi wyobrażeniami, będzie oceniał samo ogólne, czysto słowiańskie pytanie. Co do nas, takich nie pojmujemy przyrzeczeń. Są one niepodobne, zastanawiające, zdumiewające nawet. Czy można zachować obojętność na to, co Polska, co Rossya dawniéj i teraz przedstawiały? Czyli można niewidzieć, jaka jest wyższość, jaki wpływ, jakie zalety moskiewskiéj albo polskiéj cywilizacyi? Czyli można jednemi względami, jednym umysłem, jedném sercem oceniać polskie i moskiewskie piśmiennictwo? Czyli sama konieczność, sama natura rzeczy tego, co duch moskiewski i duch polski stworzył, nie wskaże, że Polskiéj albo Rossyjskiéj umysłowości pierwszeństwo przyznać należy. Taka obojętność przezornie rozumna, roztropna i wspaniała, właściwie jest fałszywa, niepodobna, szkodliwa nawet. Lecz rzeczywiście jesteśmy rozbrojeni. Czyliż Pan Cyprian Robert nie wynurzył, że pozostanie Francuzem, że jako Francuz oceni sławiańskie stósunki i słowiańskie piśmiennictwo, że wszystko podda europejskiemu względowi — liberalnym opinijom i francuzkiemu interessowi? Na katedrze przeto we Francyi, Słowiańszczyzna nie będzie pokazana, jako sama siebie pokazała przez swoje różne narodowości i cywilizacye, przez swoje piśmiennictwo, ale wystąpi taka, jaka jeszcze pozostanie po przerobieniu przez umysł francuzki, przez liberalne opinije Pana Cypriana Robert. Czyli Słowianom po téj alchimicznéj, metafizycznéj robocie co niezmienione, co żyjące, co własne zostanie, musimy powątpiewać. Podobno nic — czyliż albowiem Pan Cyprian Robert nie wzywa Słowian najłaskawiéj, aby nad swoje narodowe widoki i dobro, postawili heroicznie dobro człowieczeństwa 4), to jest aby-

---

4) Pan Cyprian Robert zaleca Słowianom placer héroiquement audessus même de leur intérêt national, l'intérêt du genre humain, Najsubtelniejsze rozumowanie, które odstępstwo narodowości, narodowych inte ressów, nazywa heroizmem! Pan Cyprian Robert każdemu

śmy, naprzykład, my Polacy Polakami być przestali, abyśmy nasze względy poddali względowi europejskiemu, abyśmy odstąpili naszéj narodowości, wyparli się nas samych, naszéj przeszłości, naszéj historyi — na korzyść ludzkości. Trudno dać odmienne, łagodniejsze tłómaczenie tym myślom wymówionym z katedry, która powołana tłómaczyć słowiańskie piśmiennictwo, przedstawić wykształcenie Słowian, doradza, zapewne przez miłość dla nich, czyliby nie było rozumnie i heroicznie, aby Słowianie popełnili odstępstwo swéj narodowości na korzyść człowieczeństwa. Takich wezwań mamy dosyć. Po Panu Cyprian Robert ponowił je we swym głośnym liście Szlachcic Polski. Tylko owo człowieczeństwo zastąpiła Moskwa. To jest wyraźniejsze i loiczniejsze.

III.

Po oświadczeniu, że Słowian ma oceniać jako Francuz, że względy słowiańskie, jako podrzędne, podda względowi europejskiemu, że o piśmiennictwie Słowian przedstawi same ogólniki i same formy, Pan Cyprian Robert zaczyna poszukiwanie, czyli przypadkiem nie znajdzie gdzie jakiéj słowiańskiéj społeczności czystéj, niepomięszanéj z zewnętrznemi żywioły, pierwotnéj. Poszukiwanie zaiste potrzebne, skoro nauczyciel po objęciu słowiańskiéj katedry, jeszcze swoich wyobrażeń o Słowianach nie urządził, jeszcze dla siebie pewnych przekonań nie ustanowił, i jeszcze nie wie, gdzie, pod jakim wpływem rozkwitnęło najpiękniéj słowiańskie piśmiennictwo, który naród najpełniéj wyobraził i wykształcił słowiańskie pojęcie. Szlachetnéj chociaż najdziwniejszéj naiwności Panu Cypriánowi Robertowi nie odmawiamy. Zasiada na katedrze we Francyi, a wyznaje niewiadomość, co zaszło i co jest we Słowiańszczyźnie.

---

słowiańskiemu narodowi, Polsce naprzykład, jeżeliby rozwiązała swoją narodowość, jeżeliby się poddala niewiemy jakiemu człowieczeństwu, przyrzeka szacunek i spółuczucie Europy. Trudno było przewidzieć, że katedra słowiańska we Francyi takie dziwne, takie rażące chciałaby udzielać nauki!

Nasamprzód Pan Cyprian Robert odkrył, że Słowianie nigdy samoistnie nie żyli, nigdy nie mieli samoistnych urządzeń, że cokolwiek u nich jest, przejęli, naśladowali. Nie ma w nich nic, coby za ich własne, za utworzone przez nich samych, uważane być mogło. Duch Słowian ma być otchłań bezdenna, nieskończona i chaotyczna. Wewnątrz niéj żadnéj tworzącéj siły, żadnéj żyjącéj światłości. Pan C. Robert kocha i szanuje Słowian — temu nie przeczymy, ale takie przypuszczenie przeciw samoistności Słowian, czyliż nie przypomina najzłośliwszych i najkrwawszych germańskich paszkwilów? Czyliż innemi dowodami usprawiedliwiano zatracenie jéj spółeczności?

Komuż Słowianie winni swoje duchowe urodzenie i swoje historyczne życie? Pan Cyprian Robert wynalazł sławnie nazwany świat grecko-słowiański, ale świat który nigdy nie miał rzeczywistości, który jeszcze nie istniał. Jest to zatem proroctwo i widzenie przyszłości, ale to nie jest historya. Grecya przeto, a jeszcze Grecya Bizancyum, udzieliła Słowianom wszelkiego początkowania politycznego, umysłowego, religijnego. Bizancyum stworzyło Słowian — grecki żywioł wykształcił Słowian i nawet do téj chwili wykształcać nie przestaje. Grecya względem Słowian dawniéj i teraz, jest to mens agitans molem. Gdyby nie Grecya bizancyjska, Słowianie dotąd nie byliby wyszli ze swego barbarzyństwa — teorya, któréj głębokie i fatalne przeznaczenie niżéj przedstawimy. Pan Cyprian Robert najmocniéj wierzy, że Słowianie, którzy mieli nieszczęście odrzucić „odżywiający" wpływ Grecyi — którzy przyjęli europejskie katolickie wykształcenie, są skazani na zatracenie, na przekleństwo. Postawić mieli samych siebie względem siebie i względem wszystkich Słowian we fałszywym stósunku. Katolicyzm miał poniżyć i zrujnować Słowian. Odszczepienie zbawiało i jedynie zbawić może. Bez odszczepienia, bez tego, czemu P. C. Robert udziela nazwanie greckiéj wschodniéj religii, dla Słowian, a szczególnie dla katolickich Czechów i Polaków nie ma przyszłości, nie ma życia. Przepisujemy dosłownie rozumowanie, i pytamy: czyli odmien-

nie przemawia petersburski synod, działający przez natchnienie cesarskiéj dyplomacyi. 5)

Gdybyśmy atoli chcieli zapytać: gdzie są historyczne czyny, gdzie przynajmniéj podobieństwo, jakoby Grecya bizantyjska Słowianom miała udzielić wszelkiego początkowania? — że Słowianie pod tym *ożywiającym* wpływem Grecyi kształcili swoje polityczne i umysłowe życie? — że ze swego ducha nic wydobyć i nic przedstawić nie mogli? że dla nich Grecya była mens? — P. Cyprian Robert nie przedstawia nic, nie popiera niczem. Samo gołosłowne i niepojęte twierdzenie, przeciw najpewniejszym historycznym świadectwom, nie ma mocy. Jest to prawdziwie gorsząca niewiadomość, albowiem niepowinniśmy przypuszczać, że Pan Cyprian Robert, przez zamiar, przez jakie zewnętrzne natchnienie, przekręca słowiańskie i polskie dzieje. Tyle dziwny kierunek słusznie zastanawia i bynajmniéj nie dowodzi, że P. Cyprian Robert pozostanie wierny swojemu przyrzeczeniu: być obojętnym względem wszystkich narodowości słowiańskich i sporów, nie mieć ani polskiéj ani rossyjskiéj myśli, rozbierać samo czyste słowiańskie pytanie. P. C. Robert widocznie przechylił się ku odszczepieniu, ku słowiańskim społecznościom mającym greckie wyznanie. — Jest to daleki, ale najgrzeczniejszy ukłon dla Moskwy. Dla Słowian katolików, dla Polaków, dla Czechów, P. Cyprian Robert nie ma nic — wyjąwszy żalu i ubolewania, że Polska przeto jedynie, że katolicka, przygotowała wszystkie swoje nieszczęścia. Katolicyzm był dla niéj i téj chwili być ma jéj przeklęctwem, jéj politycznem zatraceniem. Jest to dosyć wyraźne zaproszenie, aby Polska przez wzgląd na dobro człowieczeństwa, na dobro wszystkich Słowian, zmieniła swoje religijne przekonanie, aby odrzuciwszy Rzym, przyjęła moskiewskie religijne spólnictwo i zwierzchnictwo. Tych myśli P. C. Robert

---

5) Le Grec est le mens agitat molem de tout l'orient; où il manque, il y a barbarie. Sans le principe hellénique les slaves auraient été privé de l'influence vivifiante, qui a maintenue et fortifiée, eur originalité. Revue de Deux Mondes 1. Listopada 1844.

może nie mieć i zapewne nie ma. Lecz to z jego rozumowań naturalnie i koniecznie wynika.

Ponieważ wedle dotychczasowych wiadomości, wiemy pewnie, że Grecya bizantyjska Słowianom nieudzielała początkowania, że dla nich nigdy nie była mens — ponieważ znamy, że Polaków i Czechów do Grecyi bizantyjskiéj nigdy nie zbliżał nawet najodleglejszy polityczny i religijny stósunek, — ponieważ Polska, wcielona do Europy przez katolicyzm, ale wcielona pięknie, samoistnie, kształciła swoje narodowe jestestwo — poczekamy, czyli Pan Cyprian Robert nie poprze jakiemi dowody swoje najdziwniejsze historyczne teorye. Przedmiot zaiste najważniejszy, téj chwili najdelikatniejszy, najdrażliwszy, rozpatrzymy zaraz — a teraz powiemy jedynie, — nie mamy pojęcia, coby zyskać mogli pod jakimkolwiek względem Słowianie, którzy przyjęli odszczepienie — co straciła Polska, która przeszła do Europy, do katolicyzmu. P. C. Robert niepewny we wszystkich swoich widokach, niewidzący téj myśli, która kierowała Słowianami, nie mający o swoim wykładzie żadnych jasnych przekonań, chwytający ze wszystkich stron niezrozumiane dlań głosy, o kimże dał następujące, piękne i prawdziwe określenie? „Dziś najwięcéj prześladowany z ludów słowiańskich, na nie wywiera wpływ najczynniejszy.“ 6) Jest to określenie Polski. Ale upraszamy, jestże to znak przekleństwa i upadku dla niéj? Jestże to dowód, że odszczepienie dało Słowianom polityczne i umysłowe wyższości. Historya odmienne złożyła świadectwo. Tylko Słowianie ujęci przez katolicyzm, mieli prawdziwe umysłowe religijne i polityczne życie.

Po takiém wykazaniu że Grecya bizantyjska Słowianom udzieliła początkowania, P. C. Robert nie przestał szukać, chociażby przez zbliżenie, téj czystéj, téj pierwotnéj słowiańskiéj społeczności, i rozumuje sobie następnie. Czechów za wiele przemienił Latinizm, to jest ka-

---

6) Aujourd'hui le plus persecuté d'entre les peuples slaves est celui qui exerce parmi eux la plus active influence. — Tamże.

tolicyzm. U Czechów nieistniało i nieistnieje prawdziwie narodowe słowiańskie piśmiennictwo. Polska również przekrzywiła swoje wyobrażenia. Katolicyzm zepsuł jéj narodowość. Jéj piśmiennictwo nierozwijało się pod słowiańskiém natchnieniem — a kiedy Pan C. Robert uczonych Warszawy zapytał, czyli zapytać miał, gdzieby była pierwotna, rzeczywista polska narodowość — miano wskazać jemu mieszkańców Karpat. 7) Polska nigdzie Panu Robertowi nie pokazywała swojéj słowiańskiéj natury. Przez dziesięć wieków żyła, postępowała, miała najświetniejsze czasy i najtraiczniejsze klęski, przeto jedynie, aby zatracić swoje słowiańskie pochodzenie. Nawet dla Rossyi P. C. Robert ma zagniewanie. Azyatyckie żywioły za mocno przejęły moskiewskie społeczeństwo. Śród Czechów przeto, Polaków i Moskali, nadaremnieby szukano Słowiańszczyzny, jéj uczuć, jéj ducha. Atoli przez najszczęśliwsze zdarzenie, przez dobrodziejstwo Opatrzności, przetrwała do téj chwili prawdziwa słowiańska społeczność, pierwotna, nieporuszona, najdawniejsza. Jaka? Jest to Illirya. Wedle Pana Roberta, język illiryjski ma być kluczem wszystkich słowiańskich języków. Ich język, jest to święty język Słowian. Illiryanie najwierniéj przechowali typ Słowian. Od nich wyszły wszystkie słowiańskie osady, za Dunaj, za Karpaty, ku północy. 8) Tu na zagorzu illiryjskiém ruina Krapiny. Tu legenda Czecha, Lecha i Russa, założycieli czeskiéj, polskiéj i ruskiéj społeczności. „Wszystko, co u innych słowiańskich ludów trwa jeszcze jako legenda, jako myt ciemny, przedstawia się jeszcze jako prawo żyjące w téj nieporuszo-

7) Karpaty Pan C. Robert mieni: partout fécondes, couvertes des moissons. Jest to dowód, że P. C. R. widział Karpaty, a przynajmniéj czytał o nich. Revue de Deux Mondes 14 Marca 1846.

8) Revue de Deux Mondes 7. Stycznia 1846 Lecz 1. Listopada 1844. Pan C. R. wiedział, że nie Illiria ale Karpaty są berceau des greco slaves. Nie jest miejsce wykazywać, że jedno i drugie twierdzenie o pierwotnych siedliskach Słowian jest zupełnie fałszywe. Zdawałoby się, że Pan Robert najnowszych poszukiwań o pochodzeniu Słowian np. Szafarzyka zupełnie nie zna.

néj, poetycznéj Illiryi. Czyliż przeto niepowinienem był wnieść, że nakoniec doszedłem żywéj skały, że znalazłem grunt pierwotnéj formacyi, że Słowianie Illiryi są prawdziwie najstarożytniejszym słowiańskim narodem." 9)

Takie dziwne mniemania ogłasza przecież P. Cyprian Robert słowiańskiemu światu. Należałoby dla nich mieć uśmiech jedynie, ale czujemy boleść, albowiem uważamy, że katedra we Francyi, która miała poważne i piękne posłannictwo, która na wykształcenie Słowian najzbawienniéj wpłynąć mogła, a Europie objawić istotnie słowiański świat — upadła za nisko i za nędznie. Słowiańszczyzna, jéj historya, jéj piśmiennictwo, jéj pochodzenie, są egipskim hieroglifem, któremu P. C. Robert, nadaje tłómaczenie, jakie sobie chce. Przykro, ale wyznać musimy — takich twierdzeń, takich poszukiwań, krytyka oceniać i rozbierać niepowinna. Podobno sam Pan Cyprian Robert najlepiéj siebie ocenił, kiedy wyznał, że jego miejsce nie jest bynajmniéj katedra słowiańska we Francyi.

Więc 1846., na katedrze we Francyi, Lech, Czech i Rus, występuje jako rzeczywiste historyczne podanie, jako własność Illiryi! Więc Pan C. Robert jeszcze nie wie, że Czech, Lech i Rus nigdy nie istnieli, że nazwanie Rus, Rusi, należy IX. albo X. wiekowi, że wyraz Rus, Ruś, prosto Normanów, skandynawski szczep oznacza! 10)

Pan Cyprian Robert język illiryjski dzisiejszy nazywa językiem świętym, kluczem i początkiem wszystkich

---

9) Revue de Deux Mondes. 15. Stycznia 1846.

10) Kijow — la premiere capitale des Russes libres. Kijow, było miastem wolnych Słowian ale nie Rusinów. Kijów zajmowali Polanie Lechici, ci sami którzy mieli siedliska nad brzegami Wisły. Toż samość Polanów i Lechitów, Kijowa i Wielkopolski, historycznie najważniejsze. jeszcze dotąd nie jest właściwie ani oceniona, ani rozjaśniona. Szczep Normandzkich Rusinów, Słowian Kijowa ujarzmił, i swoje im udzielił nazwisko. Nestor wymienił wszystkie słowiańskie szczepy, które później nazwanie Rusi przyjęły, ale wolnych Rusinów Nestor nieznał. Revue de Deux Mondes 1. Listopada 1844. Równéj wartości jest i to, co P. C. Robert wie o starożytnéj słowiańskiéj jeografii — immense Moravie jest dlań Russie meridionale. Tamże.

słowiańskich języków, pragnie nawet, aby wszyscy Słowianie język illiryjski przyjęli, może przez wzgląd, że ich mowa niewykształcona, barbarzyńska, żadnych nieposiada umysłowych pomników. Więc P. C Robert jeszcze nie wie, że teraz, że bardzo dawno świętym, cerkiewnym słowiańskim językiem, nie mówi żadna dzisiejsza słowiańska społeczność, że język cerkiewny, jest to język istotnie umarły i tylko dostępny samym uczonym. Więc Pan C. Robert język illiryjski dzisiejszy, i to, co przez wznowienie językiem illiryjskim nazwano, za jeden i tenże sam język uważa. Szczep illiryjski nie miał i nie ma jeszcze jednéj mowy i jednéj pisowni, miał różne odcienia i różne pisownie, i można powiedzieć, dopiero za dni naszych zamierzono zniweczyć odcienia i różnice językowe, i utworzyć jeden język spólny całemu illiryjskiemu szczepowi. Pan C. Robert mniema daléj, że językiem świętym illiryjskim, wytłómaczono pismo święte, na lewym brzegu Dunaju u Serbów, u Bulgarów może. Jest to najniepodobniejsze przypuszczenie, wywrócone dostatecznie przez piękne poszukiwania Kopitara i Chmiela. Kopitar i Chmiel wyjaśnili, że przekład biblii wykonano między Słowianami, którzy zajmowali dzisiejsze Węgry, że obrządek katolicko-słowiański, to jest nauka rzymska a jedynie wyrazy słowiańskie, u tych jedynie powstał Słowian, że od nich przeszedł na wszystkie słowiańskie narody, że Metodiusz i Kirylli, nauczyciele apostołowie Słowian, najściśléj szanowali hierarchiczne i dogmatyczne zwierzchnictwo Rzymu, że przeto nie wschód, ale katolicyzm udzielił Słowianom istotne religijne początkowanie. Tych prawd dowiedzionych historycznie, tych początków katolicyzmu i słowianizmu między Słowianami, podrzędnie oceniać, za nic uważać nie można. Jakichże albowiem nie czyni wysileń moskiewska polityka, aby wykazać, że Grecya pierwsza nawróciła Słowian, że katolicyzm, niektórym tylko Słowianom udzielony, był dla nich zepsuciem i nieszczęściem, że przeto katoliccy Słowianie uczyniliby rozumnie, heroicznie, gdyby przynajmniéj teraz, po dziesięciu wiekach, odnowili religijne od-

szczepienie. Czyliż nie dla tych prosto politycznych a najfatalniejszych względów, Pan Maciejowski najśmieléj nie fałszuje polskiéj i słowiańskiéj historyi? Mniemamy, Pan C. Robert zapewne i nie przeczuwa, jakim usługuje dążeniom, czyjéj polityce niesie wsparcie. Dla nas atoli pozostanie widoczne, że pod względem naukowym, pod względem kierunku, jakiby wszystkim Słowianom narzucić chciano, Pan C. Robert powtarza jedynie mniemania i życzenia warszawsko - moskiewskiéj uczonéj wyroczni. Czy takie miał zamiary najżyczliwszy dla Słowian rząd francuzki, czy takich sobie życzył nauk na katedrze? zapewne że nie.

O najważniejszych zatem przedmiotach, o tych uczuciach, o tych najgłębszych i razem najdelikatniejszych pojęciach, z których jedynie dalsze życie Słowian a zatem i Polski rozwijać się powinno, — Pan C. Robert ma zupełnie fałszywe wyobrażenie, nie posiada tych nawet prosto mechanicznych wiadomości, które znać, nie ma żadnéj zasługi; a których nieznać, dla katedry słowiańskiéj we Francyi, jest niepojęte. P. C. Robert wszystko odkrył i wszystko widzi we swojéj Illiryi. Ona jedna prawdziwie poetyczna i nieporuszona, zatrzymała pierwotny słowiański typ. Tu pierwotna formacya słowiańska, tu żywa skała i granit, który widział i dotąd najwierniéj zachował pierwotne słowiańskie stworzenie.

Czy mniema przypadkiem P. C. Robert, że tylko jedna Illirya między Słowianami ma przymiot poetyczności, że w niéj tylko przetrwały narodowe pieśni i legendy? Czyli przypuszcza, że u Czechów i Polaków, u Rusinów nie ma poetycznéj natury, nie ma pieśni, legend i poezyi, że u tych Słowian zagasło wszelkie poetyczne uczucie, pewnie przeto, że je katolicyzm obłąkał i zatłumił, że Polacy, Czesi a częściowo i Rusini nie żyli i nie kształcili się pod tym ożywiającym wpływem bizantyńskiéj Grecyi. Gdyby Pan C. Robert był widział przynajmniéj napisy tych licznych zbiorów narodowych pieśni, które teraz u wszystkich Słowian ogłoszono, nie byłby nigdy wymówił na katedrze, że poetyczność słowiańska tylko u Illirian

przetrwała. Czyli Illirya miała wiek XVI^{sty} złoty, jako miała naprzykład Polska? Czyli Illirya stworzyła piśmiennictwo takie, jakie stworzyła Polska? Czyli dla Illiryi jest wiek XIX. podobny dziewiętnastemu wiekowi polskiemu? Czyli powstał w niéj jaki drugi Mickiewicz, drugi Goszczyński, drugi Bohdan Zaleski? Czyli naprzykład dawna i dzisiejsza Illirya naukowa, może pokazać coś podobnego Trzem Psalmom? Czyli u Czechów nigdy piśmiennictwa nie było? Niestety! tych względów Pan C. Robert ani ocenić, ani zrozumieć nie może. Nad Polakami i Czechami nigdy niejaśniało słońce Grecyi. Pan C. Robert Słowian bez Grecyi nie pojmuje. Mówi: gdzie nie ma Grecyi, widzisz barbarzyństwo. Byliśmy przeto, jesteśmy i zapewne zostaniem barbarzyńcami. Jestże to niewiadomość jedynie? Przesadzona, możemy powiedzieć, nieumiejętna skłonność ku orientalizmowi, popchnęła P. C. Robert ku najdziwaczniejszym złudzeniom. 11)

Przypuścimy, że Illirya niewzruszona, najwierniéj przechowała typ słowiański; że to ma być pierwotna formacja, granit słowiańszczyzny: jest to raczéj jéj nieszczęście, ale nie dowód, że Illirya dla reszty Słowian, pod jakimkolwiek względem, mogłaby być wzorem; że ona najwierniéj, najpiękniéj przedstawia słowiańskie pojęcie, słowiańskie piśmiennictwo. Natura niezatrzymała się we swéj pierwotnéj formacyi. Granit był dla niéj pierwszym

11) Téj wyższości przyznanéj Illirianom mamy naturalne wytlumaczenie. Pan C. Robert długo podróżował między Słowianami na prawym brzegu Dunaju. Stąd jego dzieło o Słowianach w Turcii, pod wielu względami ciekawe i ważne. Stąd Słowiańszczyzna za Karpatami, ku Północy, jest dlań ciemna, tajemnicza i' niecdgadniona. Wszystko przekonywa, że Pan C. Robert nie zna polskiéj mowy, ani nawet przeczuwa. że polska mowa ze wszystkich słowiańskich najdłużéj i najmocniéj żyła, rozwinęła się najpełniéj, wydała utwory, jakich niewydał żaden słowiański język, objawiła prawdziwie wielkie duchowe potęgi. Gdyby ją znał Pan C. Robert, byłby dla niéj sprawiedliwszy. Pan C. R. wyrazy sława i słowo za jedno bierze, a nazwanie Słowian od sławy poetycznie prowadzi. Szaffarzyk niepoliczone przytoczył dowody, że najdawniéj pisano Słowianie ale nie Sławianie. Sławianie jest to greckie i niemieckie przekręcenie.

początkiem, szkieletem, na którym stopniowo przesuwały się jéj najrozmaitsze, coraz organiczniejsze, coraz doskonalsze utwory. Natura można powiedzieć kształciła siebie, rozwijała się licznie — coraz wyżéj wznosiła się, postępowała, niejako żyła. Temu samemu prawu ulegały wszystkie społeczności, — opuszczały swój pierwotny stan, kształciły siebie, rozwijały swoje duchowe potęgi — postępowały, żyły. Lecz naród, który nie przeszedł swojéj pierwotnéj formacyi, który wiernie przechował swój typ pierwotny, nieporuszony, — można powiedzieć jeszcze nie żył, jeszcze nie ma prawdziwéj historyi, jeszcze nie odebrał zupełnéj wiedzy samego siebie, jeszcze nie posiada tego, co właściwie przez narodowe piśmiennictwo rozumieć należy. Jest to rzeczywiście stan Illirii i wielu słowiańskich społeczeństw, które dotąd nierozwinęły swojego ducha, nie stworzyły swego piśmiennictwa. Illirya dla Słowian nic nie ma. Jéj duch jeszcze nic nie stworzył — i nigdy nie może być pokazywana jako typ słowiański, jako jego najgłębiéj poznane, najpiękniéj przedstawione pojęcie. Illirya sama o sobie takich nie ma przekonań. Pierwsza odrzuci ofiarowane jéj, nie wiemy jakie pierwszeństwo. Podobno nie Illirya na słowiańskie narody najczynniejszy wpływ wywiera. I rzeczywiście nie wiemy, jakiemi duchowemi potęgami wpływ wywieraćby mogła.

Zaiste, każdy naród powinien zatrzymać swoje pierwotne żywioły, przez które był i jest narodem, przez które odebrał historyczne narodzenie, działanie i powołanie. Jest to jeszcze przez Boga udzielona potęga. Tych żywiołów swego istnienia, téj zasady duchownéj swego bytu, naród nie może odrzucić, zniweczyć, albowiem rozwiązałby sam siebie. Jest to istotnie jego granit, jest to treść jego ducha. Lecz prawem ducha nie jest, być nieporuszonym, pozostać we swojéj pierwotnéj formacyi. Prawem ducha jest ruch, postęp, wykształcanie siebie, coraz widoczniejsze, coraz jaśniejsze urzeczywistnienie swojéj istności, jednym wyrazem — życie — stwarzanie,

czyli jako najgłębiéj mówi pismo święte — spółpracownictwo z Bogiem.

Nie lud przeto, który dotąd jest jeszcze granitem, który jeszcze nie wyszedł ze swojéj pierwotnéj formacyi, który właściwie jeszcze nie miał historyi, który jeszcze swojego piśmiennictwa nie stworzył — wyobraża najwłaściwiéj typ słowiański, słowiańskie myślenie. Nie w nim jest złożony, nie jemu jest zwierzony skład słowiańskiéj narodowéj wiedzy. Trzeba koniecznie pójść za Dunaj, ku północy, za Karpaty, ku Wiśle, ku Elbie, ku tym katolickim Słowianom, których Pan Cyprian Robert nierozumie, dla których ma jedynie żal, gniew, przepowiednie zatracenia. Bez głębokich i dalekich poszukiwań, najłatwiéjby się objawiło, że typu słowiańszczyzny, jéj prawdziwéj duchowéj, najgłębiéj pojętéj i przedstawionéj natury szukać należy pośród téj społeczności słowiańskiéj, która najdłużéj żyła, niepodlegle rozwijała swoje jestestwo umysłowe, która przeszła najświetniejsze i razem najtraiczniéjsze losy, która we swoich najwspanialszych dziejach przedstawiała wszystkie chwały, wszystkie cierpienia człowieczeństwa. Takiemi społecznościami były: Polska i Czechy, może nawet Polska jedynie. Nad nię nie wzniosła się wyżéj żadna słowianska społeczność — piękniéj, dokładniéj i rzeczywiściéj nie przedstawiła siebie. Jéj piśmiennictwo dotąd jest najzupełniejsze, najbogatsze, najprawdziwiéj duchowe — przez wzgląd niezmiernie naturalny i konieczny razem, że Polska ze wszystkich narodów najżywiéj myślała, najdłuższe miała życie, najwięcéj ze swego wydobyła ducha, nieokreślone radości i najżywsze boleści. Temu dotąd zaprzeczyć nie śmiano. To powszechnie uznano. Niemcy, ostatni i najniechętniejsi, kiedy Polsce trzeba wymierzyć sprawiedliwość, sami przecież wyznali, że Polska XIX wieku, że Polska między 1830—1846, najśmielsze objawiła umysłowe życie. Nie mogliśmy zatém przeczuć, że katedra słowiańska we Francyi Polsce jéj najtrwalszą, jéj najpiękniejszą własność odbierze. Nie zdołamy sobie nigdy wytłómaczyć, przez jakie dziwne zrządzenie kate-

dra we Francyi omija piśmiennictwo, które się wzniosło na najwyższy stopień, a typu słowiańszczyzny poszukuje w narodowości, ktora, wedle samychże określeń katedry, zatrzymała swój kształt pierwotny, nieporuszony, nie wyszła jeszcze ze swojéj pierwotnéj formacyi, i we swém stwarzaniu siebie daléj po za granitowe ukształcenie przejść nie umiała. To nawet nie odpowiada liberalnym opinijom postępowym. Zaiste, nie gardzimy żadnym słowiańskim szczepem, nawet pod względem historycznym i duchowym fatalnie zatrzymanym niżéj. Szanujemy wszystkie, miłujemy wszystkie. Życzymy dla nich świetności. Udzielimy im naszych własnych, nietylko dla nas zdobytych naukowych potęg. Ale nigdy nie powiemy, że u nich typ — najdokładniejsza wiedza.

To byłaby miłość fałszywa, szkodliwa dla nich samych, dla wszystkich Słowian. To byłoby cofnienie się. Nigdy nie zatwierdzimy téj lekkiéj, a pod względem wykonania, niepodobnéj rady, aby pewne słowiańskie społeczności, najwyżéj ukształcone, pierwsze, odrzucały to, co zdobyły przez dziesięć wieków pracy, walki, ofiary i męczeństwa; aby się wyparły niejako samych siebie, aby swego typu szukały u narodu, który *nieporuszony*, zatrzymany we swojéj pierwotnéj formacyi, dotąd granit, właściwie ani politycznie, ani umysłowo nieodebrał narodzenia. Katedra we Francyi ma najdziwniejsze i najfałszywsze razem pojęcie naukowych słowiańskich stosunków, żywiołów, z których się rozwinęła i nadal rozwijać ma słowiańska cywilizacija.

IV.

Jeżeli rozważymy, jakiemi sposobami rząd moskiewski usiłuje zniweczyć katolickie wyznanie między ludnościami zamieszkującemi ziemie dawnéj Polski — podobno nie będzie obojętne poznać, jekie losy zapowiada katedra we Francyi Słowianom, którzy przyjęli, którzy dotąd zatrzymali katolicyzm. Powiemy razem — między widokami, życzeniami katedry, a najdaléj posunionemi

zamiarami i nadziejami moskiewskiéj polityki, nie ma najmniejszéj różnicy. Pan Cyprian Robert jasno, wyraźnie, stanowczo odkrywa swoje przekonanie. Złożył uwielbienie grecko moskiewskiemu wyznaniu, a słowianom katolikom zapowiedział zniknienie, konieczne rozwiązanie. Katolicyzm między Słowianami niema żadnéj przyszłości. Katolicyzm między Słowianami był błędem i nieszczęściem. Czy takie rząd francuzki katedrze słowiańskiéj naznaczył powołanie? Najmocniéj wątpimy.

Naszemu twierdzeniu może nie chcianoby wierzyć. Niechaj przeto Pan Cyprian Robert własnemi przemawia słowami. „Polska łacińska 12) przyjmując za jedyną podstawę swojego prawodawstwa kościół rzymski, weszła naturalnie do otwartéj wojny przeciw większości słowiańskich narodów, nad któremi inny panuje kościół. Cóż stąd wnioskować należy, jeżeli nie sprzeczności i nieszczęścia, dla każdéj chrześciańskiéj wschodniéj społeczności, która przyjęła latinizm 13) w tym świecie grecko słowiańskim, (14) przez zwyczaje, przez prawa, przez obrządki tyle wschodnim podobne, że wyrażenia: religija grecka i religija słowiańska są jednoznacznemi. Polska chociaż słowiańska myśli i działa przez Latinizm. Ten latinizm Polaków może więcéj aniżeli ich jeograficzne położenie, zaprowadził ich do *ruiny,* albowiem większość greko-słowian musiała ich uważać niejako za *cudzoziemców.* Widocznie przyszłość Polski zależy od pojednania się z pojęciami wschodniemi, przeciw którym ona dotąd walczyła.“ (15)

---

12) Pan C. Robert wszędzie przez Latinizm rozumie katolicyzm. Jest to przeciw Polsce, przeciw katolicyzmowi szydercze moskiewskie wyrażenie

13) Revue des Deux Mondes 1· Luty 1345.

14) Pan Cyprian Robert zawsze na przodzie stawia grecki, a następnie słowiański. Grecija jest to dlań mens.· Ludność Słowian wynosi 90,000,000. Greków najwięcéj 3,000,000. Lecz przypominamy sobie — Słowianie są to barbarzyńcy, gromady, które dopiero przez wpływ ożywiający Grecyi myśleć zaczęły. Grecija dla tych gromad bezrozumnych dotąd. jest to mens agitans molem.

15) Revue de Deux Mondes 1. Luty 1845.

Gdybyśmy chcieli zapytać o dowody, że Polska całe swoje prawodawstwo oparła na katolickim kościele — tych dowodów nie wymienia uczony professor. Jest to formuła jedynie, prawdopodobnie natchniona przez *liberalne opinije*, przez *interes Francyi*. Tych dowodów niema polska historija. Gdybyśmy chcieli wiedzieć, gdzie i kiedy Polska toczyła religijne wojny, nakazywała religijne prześladowania — znowu historija nasza nie da odpowiedzi. Jedna Polska, najpierwsza ogłosiła i szanowała wolność wyznań, i bez porównania mniéj w najgorszych czasach od innych państw różnowierców prześladowała. Katedra widocznie powtarza jedynie moskiewskie paszkwile przeciw Polsce, przeciw jéj latinizmowi. Polska poddana latinizmowi postawiła siebie we sprzeczności ku innym Słowianom, sprowadziła wszystkie swoje nieszczęścia, przygotowała swój upadek. Latinizm między Słowianami Polaków zrobił niejako cudzoziemcami. Polacy, Słowianie niewyznający moskiewskiéj religii, pośród Słowian są cudzoziemcami. Cóż stąd wnieść? To, czego katedra sama nie wnosi, ale co wnieść koniecznie upoważnia. Rząd moskiewski ma dobroczynne zamiary. Wytępia Latinizm, Polaków niejako cudzoziemców, robi prawdziwymi Słowianami. Katedra nie sama takie ma mniemanie o katolicyzmie. Są i między Polakami tacy, którzy także uznali katolicyzm antysocyalnym, najszkodliwszym dla Polski. My przypuszczaliśmy, że ruina, że nieszczęścia Polski miały odmienny powód. Przypuszczaliśmy fałszywie. Tylko katolicyzm zrujnował Polaków. Innéj nie ma winy. Tylko katolicyzm Polaków wprowadził do ruiny. Wprawdzie P. C. Robert dla Polski, dla katolików Słowian ma niejakie nadzieje. Polska powinna się pojednać z pojęciami wschodniemi religijnemi, powinna sama odrzucić swój łaciński kierunek, zniweczyć swoje fatalne cudzoziemstwo. Co to znaczy? — Czyli trzeba katolikom Słowianom popełnić odstępstwo religijne, wyprzeć się swojéj przeszłości i swéj historyi, rozwiązać w sobie to, czem są, czem dotąd historycznie byli? Trudno takich nie uczynić zapytań. Odpowiedź

będzie dosyć łatwa, skoro Pan Cyprian Robert wyłoży swoje wszystkie myśli. Przedstawiamy je daléj.

„Najazdy niemieckie średnich wieków, wprowadziwszy do tych krain grecko-słowiańskich łaciński obrządek i zwyczaje niemieckie, tym, którzy je przyjęli, nałożyły obowiązek ustanowienia przedziału nienawiści ku ludowi, który pozostał wierny starożytnym ustawom. Ujarzmienie krajowców przez długie wieki było niejako prawem bytu dla wszystkich krain katolickich świata Greko-Słowian." 16)

Katedra znowu przedstawia czyny, których nie znaliśmy, których nie przeczuwaliśmy, dla prostéj przyczyny, bo nigdy nie istniały. Więc katedra przedsiębiorąca opowiadanie formuł Słowianom, a między nimi i Polakom, nie wie, że Polska nigdy nie ulegała niemieckiemu najazdowi, że nigdy nie przejmowała germańskich zwyczajów, że sama jedna między wszystkiemi słowiańskiemi społecznościami, dziesięć wieków była niepodległa, nigdy nie dała przystępu i przewagi zewnętrznym żywiołom, że jedna tylko rozwijała samoistnie swoje narodowe jestestwo! Katedra we Francyi nie zna tego, co zna pierwszy polski uczeń. Czego, jakich wyrzutów, jakich zaskarzeń katedra Polakom nie czyni! Są cudzoziemcami, przyjęli łaciński obrządek, germańskie zwyczaje, stracili narodowość — chociaż dziesięć wieków zatracić nie mogli, chociaż o téj polskiéj narodowości sama katedra mówić raczy, sądzimy przez zapomnienie, że jest „historyczna, nieprzerwana, niezniweczona." 17)

Szlachta słowiańska, szlachta polska, która przyjęła katolicyzm i owe germańskie zwyczaje, popełniła ogromniejsze przestępstwo. Przeto, że katolicka i zgermanizowana ujarzmiła lud, lud niewolnikiem zrobiła, zrobić musiała; — katolicyzm wszędzie do Polski wniósł niewolnictwo, i nie przeczuwamy, że wedle Pana Cypriana Robert tylko kościół grecki, a przeto i moskiewski, swoim wiernym udziela najokazalsze polityczne swobody. —

16) Revue de Deux Mondes. 1. Luty 1845.
17) Tamże.

Tylko przez kościół grecki dla Słowian niepodległość, narodowość i swobody polityczne. Gdzie tych najszczególniejszych natchnień szukał Pan Cyprian Robert — nie wiemy; na jaki cel ogłasza je, nie chcemy czynić domniemań. Są to zmyślenia proste i najgrubsze razem. Katedra nie wie, że dla polskiéj społeczności pojęcie i rzecz niewoli są zupełnie nieznanemi; że kmiecie polscy do XVI. nawet do XVII. wieku używali prawdziwéj wolności osobistéj, że jéj ograniczenie, zawsze nieszczęśliwe, nie katolicyzmowi, nie germańskim zwyczajom, a nawet nie drapieztwu, nie samowładztwu polskiéj szlachty przypisać należy. Słowem, nie ma najkrwawszych zarzutów, którychby P. C. Robert katolicyzmowi i Polsce nie powiedział. Jakie ku temu miał powody? Historycznych nie miał. Lecz jeszcze nie koniec.

„Tylko pod rządem pruskim polski naród może trwać, i uważać siebie politycznie jako łaciński — we wszystkich innych swoich ziemiach powinien szanować spółuczucia grecko-słowiańskie. Urodzeni łacinnikami Polacy — napełnieni wyobrażeniami łacinskiemi, których odstąpić nie mogą, powinni poddać ich polityczne dążenie wschodniemu dążeniu ich szczepu.“ 18)

Katedra nakoniec okazuje najżyczliwsze złagodzenie. Polakom księstwa Poznańskiego pozwala być Polakami pod każdym względem, historycznie, politycznie, nawet katolicko. Ale daléj nie. We wszystkich ziemiach dawnéj Polski — Polski, Polaków nie ma. Królestwo Polskie 1815. r., królestwo Halicza i Włodzimierza prawie zupełnie polskie i katolickie, wedle P. Cypriana Robert nie są ani katolickiemi, ani polskiemi. Litwa, Wołyń, Podole, Ukraina do najdalszych duchowych głębokości przesiąknione przez katolicyzm i polonizm, nie są również, a przynajmniéj być nie powinny ani polskiemi, ani katolickiemi. Tam katolicki i polityczny polski kierunek wywrócić należy. Roku 1815. na zjeździe w Wiedniu wszystkie państwa eu-

18) Tamże.

ropejskie przyjęły, uznały, że polska narodowość we wszystkich tych ziemiach jako istniejąca, jako panująca szanowana i zachowana być powinna. Lecz 1846. r. katedra we Francyi zrobiła odkrycie, że to był błąd uprzedzenia i złudzenie. Po za księstwem Poznańskiém Polski nie ma, a jeżeli jest jaka, dobro samych Słowian, dobro *człowieczeństwa* nakazuje jéj rozwiązanie, jéj zniweczenie. Polacy istniejący po za księstwem Poznańskiém powinni odstąpić swojéj katolickiéj religii, swojéj historycznéj narodowości, swojéj politycznéj natury.

Wiemy, jakich sposobów pozwala sobie rząd moskiewski, aby wytępić i katolicyzm i polonizm, — polskie historyczne i polityczne uczucie. Rząd moskiewski twierdzi, że na tych polskich ziemiach, nad któremi panuje, ani katolicyzm, ani polonizm być niepowinien. Są to czyny publiczne, europejskie. Czego jeszcze nie dostawało? — Usprawiedliwienia, wyrozumowania tych czynów, wykazania ich politycznéj, ich religijnéj, ich słowiańskiéj konieczności. Usprawiedliwienie przyjęła katedra we Francyi. Rząd moskiewski wytępia i katolicyzm i polonizm — a katedra we Francyi wynajduje powody wytępienia historyczne i religijne. Tyle szlachetnie, tyle rozumnie pojęła swoje powołanie!

Zdawałoby się, jakoby katedra słowiańskiéj literatury we Francyi odebrała powołanie wykładać nie piśmiennictwo, nie działanie i utwory umysłowe Słowian, ale ogłaszać najwyższe uwielbienie grecko-moskiewskiemu wyznaniu, grecko-politycznym dążeniom, a najgłówniéj wykazać, że dla katolicyzmu między Słowianami, że dla polonizmu nie ma żadnéj nadziei, żadnego życia, że to są nieszczęsne złudzenia. Nadaremnie chciałby wmówić P. Cyprian Robert, że katolicyzm, jako katolicyzm, szanuje i zostawia. Nie. Nie dalże tych najwyraźniejszych określeń: — „U Greko-Słowian państwa od kościoła, kościoła od państwa rozdzielić nie można. Na wschodzie kościół stworzył narodowości, a kiedy upadały, kościół je od śmierci wybawił. Nie wiemy, że kościół, urządzony wedle pojęć świata Greko-Słowian, jest źródłem najokazal-

szych swobód." 19) Trudno wedle tych dobitnych określeń zostawić cokolwiek wszelkiéj słowiańskiéj społeczności wyznawającéj katolicyzm. Na wschodzie kościół i państwo są nierozerwane, są jednością organiczną. Nie być wschodniéj religii, jest to nie być Słowianinem, jest to, jako naucza paryska katedra, być niejako cudzoziemcem między Słowianami. Polonizm religijnie i politycznie zniweczony będzie, zniweczony być musi. Jeżeliby chciał trwać, jeżeliby za coś chciał uważać swoje dziesięciowiekowe istnienie, jeżeliby śmiał przypuścić, że społeczność przez dziesięć wieków fałszem i złudzeniem żyć, wykształcić się, i do najświetniejszéj potęgi politycznéj i umysłowéj wznieść się nie mogła, Pan Cyprian Robert zaraz wysunie swoje wielkie, czarodziejskie formuły: że przy katolicyzmie nie można być Słowianinem; że być katolikiem, jest to stawiać się we sprzeczności ze wszystkimi Słowiany, że to jest ruina i nieszczęście. Twierdzi nawet, że kosciół wschodni stworzył słowiańskie narodowości, że je od śmierci wybawił, że był, może nawet i jest początkiem najświetniejszych swobód. Lecz gdybyśmy zapytali: gdzie i kiedy to było? — gdzie kościół wschodni stworzył słowiańskie narodowości? gdzie najokazalsze swobody narodom założył? — na to historya nie ma odpowiedzi, nie przedstawia czynów. Jest to formuła jedynie, która dotąd nigdzie nie miała rzeczywistości, nigdzie zastósowania. Czyli przypadkiem odszczepiony kościół moskiewski ocalił i założył, wydał ze siebie najokazalsze narodowe swobody? Czyli przypadkiem kościół moskiewski, poddany politycznéj władzy, jest arcywzorem, najpiękniejszém wykształceniem tego, co świat Słowian pojmuje przez swoje polityczne i religijne urządzenie. Niestety! Trudno umiejętnie i historycznie oceniać i wywracać to, co mówi Pan Cyprian Robert, niewiedzący, że zlanie politycznéj i duchownéj władzy — że kościół i państwo, sprowadzone do najzupełniejszéj jedności, są poniżeniem społeczności związanéj przez tyle

19) Revue des Deux Mondes 1. Luty 1845.

potworne urządzenie, że to jest grunt jéj politycznéj, religijnéj, umysłowéj niewoli. Wedle P. Cypriana Robert jest to najokazalsza swoboda, kiedy jaki synod odbiera natchnienie Ducha Świętego przez pośrednictwo Jenerała, — jeżeli prawo pojmowania, tłómaczenia i upowszechnienia ewangelii władza polityczna wykonywa przez Ukazy. Są to konieczne, ale są to najfatalniejsze następstwa téj przez Pana C. Robert uwielbianéj jedności państwa i kościoła, ale takiéj jeszcze jedności, że państwo jest wszystkiém — kościół niewolnikiem, narzędziem, niczem. Jest to prawdziwe spodlenie i człowieka i społeczeństwa. —

Jeszcze jedno i ostatnie określenie, dopełnienie wszystkiego, co tylko katedra o katolicyzmie i polonizmie wyrzekła. Pan C. Robert odkrywszy, że Słowian uznających kościół wschodni ma być 69,000,000 — a Słowian katolików zaledwie 16,500,000 — rozumuje następnie: „Jakaż przeto przyszłość być może dla myśli (génie) Latinizmu pośród Greko-Słowian? *Żadna.* Dualizm, który jeszcze chcianoby zachować, jest jedynie *snem przeszłości.* Nie ma przeto żadnéj walki we szczepie greko-słowiańskim. Szczep słowiański przyszedł do swojéj *moralnéj jedności.* 20) Zaiste, podobnych twierdzeń powiedzianych tyle śmiało, tyle pewnie — umiejętnie oceniać nie można. Są one poniżéj wszelkiéj krytyki. Pan Cyprian Robert nie ma nawet najlżejszych powątpiewań. Katedra przeto we Francyi, światu głosząca formuły — narodowości polityczne, umysłowe i religijne życie Słowian, ich wartość, ich przyszłość ocenia nie wedle pojęć, nie wedle czynów i historyi, ale prosto liczbami! Jest to rzecz obrachowania, ale nie myślenia — jest to praca mechaniczna, ale nie umysłowa, która jest najtrudniejsza, najgłębsza, jedynie prawdziwa, wedle któréj pojmowaćby należało katolicyzm i kościół wschodni — słowianizm i polonizm. Katedra téj szlachetnéj nie przedsiębierze pracy: dla niéj liczby wystarczyły. Liczby objawiły wszystko. Dla katolicyzmu, dla polonizmu przyszłość

20) Revue des Deux Mondes I. Listopada 1844.

żadna. Katolicyzm i polonizm są to *sny przeszłości*: wewnątrz słowianizmu, dualizm rozwiązany — Słowiańszczyzna przyszła do swojéj moralnéj jedności. Lecz gdybyśmy chcieli wiedzieć, gdzie słowiańszczyzna przyszła do swojéj zupełnéj moralnéj jedności — gdziebyśmy mogli znaleść jéj polityczne, jéj umysłowe, jéj zewnętrzne uosobienie, jéj jedność? — gdybyśmy na czynach okazane mieć chcieli, że istotnie wewnątrz słowiańszczyzny wszelkie odcienią zniknęły, że między słowiańskiemi ludami odróżnionemi tyle głęboko, rzeczywiście nastąpiło zbliżenie się, zlanie moralne: — to nigdzie nie ma rzeczywistości, to nie ma jeszcze istnienia, to politycznie, umysłowo, moralnie jeszcze postaci nie przyjęło, to jeszcze narodzenia nie miało. Jest to prawdziwy sen. Niezawodnie, słowiańszczyzna zmierza ku swojéj jedności. Jest to dla niéj konieczność. Jest to jéj powołanie. Ale téj jedności nawet moralnie, zaledwie grube, pierwsze widzimy zarysy. Jest to chaos, do którego światło stworzenia zaledwie wstąpiło. Że porównamy, Duch Boży unosi się nad nim, ale jeszcze w nim nie jest.

Odsuwamy drażliwe polityczne względy, bierzemy samo umysłowe życie i działanie, piśmiennictwo, przez które jedynie każdy naród uosabia swego ducha, zajmuje historyczne miejsce. Gdzie przeto nasz polski duch swoje natchnienie czerpać powinien, na jakim żywiole mamy oprzeć nasze piśmiennictwo? Czyli na naszéj przeszłości? Czyli natchnienie we własnym naszym duchu powinniśmy czerpać z nas samych, z naszéj historyi, wyprowadzać nasze umysłowe działanie? Niepodobna! Katedra słowiańska we Francyi zabrania. Cała przeszłość Słowian katolików była obłąkaniem, wynarodowianiem się; ponieważ katolicy pośród Słowian jesteśmy cudzoziemcami. Teraz wszystko ukończone. Katolicyzm i polonizm rozwiązane — nie ma dla nich przyszłości. Gdybyśmy chcieli nasze piśmiennictwo podnieść czeskim żywiołem — katedra znowu zabroni. Czechów i Polaków jedno dotknęło przeklęcie, jedno zepsucie: przez dziesięć wieków wynarodowiali się — cudzoziemczeli, katoliczeli, sta-

wiali sporność przeciw Słowianom. Cóżkolwiek P. Cyprian Robert sobie rozumie o swojéj poetycznéj i nieporuszonéj Illiryi, o Słowianach Turcyi, między nimi ani natchnienia, ani piśmiennictwa dla nas szukać nie będziemy, i gdybyśmy nawet chcieli szukać, nie możemy przez prosty wzgląd, że Słowianie za Karpatami jeszcze swego piśmiennictwa nie stworzyli, że jeszcze prawdziwie politycznéj i umysłowéj jedności nie mieli, że istotnie jeszcze po za stopień pierwszéj formacyi nie przyszli, że jeszcze się nie wznieśli do téj duchowéj wyższości, do téj umysłowéj wiedzy, do któréj przyjść umieli katolicy Słowianie. Nadaremnie także zwrócilibyśmy się do Rossyi dzisiejszéj. Położenie dzisiejszéj Rossyi polityczne, umysłowe, Pan Cyprian Robert ocenił dosyć właściwie, chociaż powierzchownie i zewnętrznie; nadeń surowszymi być nie chcemy. Rossya, mimo swojéj ogromnéj potęgi liczbowéj, nie stworzyła, nic nawet nie zaczęła, wszystko zepsuła, i znowu nie w saméj sobie, ale zewnątrz, u Słowian powinna brać i przejmować żywioły swego odrodzenia. Lecz przy tém ocenieniu Pan Cyprian Robert dla Rossyi ma wymiarkowanie, ma przebaczenie, ma wszystkie nadzieje. Nie mówi jéj, że zcudzoziemszczała, że się wynarodowiła, że jest snem przeszłości, że dla niéj nie ma przyszłości i życia. Pan Cyprian Robert nie radzi jéj, aby się wypierała swojéj historycznéj istności, aby popełniła swoje duchowe samobójstwo, jako najwyraźniéj poleca Polakom. Nie. Rossya ma jeden wielki przymiot, zastępujący, wynagradzający wszystko. Rossya przyjęła kościół wschodni. Nienawidzi, wytępia i katolicyzm i polonizm.

Gdyby przeto katolicy Słowianie wykonać mogli to, co im Pan Cyprian Robert tak żywo poleca; gdyby wyparli się swojéj przeszłości, gdyby się zaparli samych siebie, gdyby popełnili dobrowolnie swoje duchowe samobójstwo: — gdzieżby przeszli? — jakimżeby duchem naprawili, zapełnili swoje jestestwo? — Słowiańszczyzny jeszcze nie ma. Słowiańszczyzna jeszcze nie jest stworzona. Jeszcze ogromna praca, nim nastąpi jéj umysło-

wa, jéj naukowa jedność — jéj wewnętrzne rozdwojenie jeszcze nieskończone. Musielibyśmy przeto wcielić się nie temu, co jeszcze nie istnieje, ale temu, co istniało, co ma rzeczywistość. Lecz narodom słowiańskim, które istniały, które są żyjącemi, politycznemi rzeczywistościami, nie możemy przyznać wyższości umysłowéj, religijnéj, duchowéj. Słowianie katolicy przeto poświęciliby to, czem byli, czem są, temu, co jeszcze nie ma istności, albo temu, co pod każdym względem jest niższe, jest niewykształceńsze, co jeszcze długo rozwijać się i dopełniać musi, nim wyrówna temu, co Słowianie katolicy pięknie i gruntownie stworzyli. Gdyby P. C. Robert był zgłębił swoje własne wyrazy, że Polska między Słowianami najczynniejszy wpływ wywiera, że jéj narodowość jest nieprzerwana, niezniweczona — gbyby był ocenił, co w Polsce taki wpływ wyjednało, co jéj narodowości udzieliło niejako nieśmiertelność, potęgi duchowe prawdziwie zdumiewające, Pan Cyprian Robert niebyłby katolików Słowian nazwał cudzoziemcami, nie byłby twierdził, że dla nich nie ma przyszłości, że ich przeszłość jest snem jedynie — niedoradzałby, aby Słowianie katolicy wyrzekli się samych siebie i popełnili swoje umysłowe, swoje narodowe i religijne samobójstwo. Pan Cyprian Robert byłby był zupełnie odmienne wyprowadził wnioskowanie — byłby był nie ogłaszał o słowiańszczyźnie wschodniéj tych formuł, których niczém usprawiedliwić nie można, dla których nie ma ani umiejętnéj, ani historycznéj podstawy. Ponieważ P. Cyprian Robert katolików Słowian, ich dzisiejsze życie snem nazywać raczy, pozwoli sobie powiedzieć, że takie pojmowanie Słowiańszczyzny, jakie on przedstawił, istotnie tylko we śnie mieć można. I gdyby tylko to był sen!

Poświęciliśmy rozbiór nieco obszerniejszy przedmiotowi ważnemu, może najważniejszemu, jeżeli ocenić zechcemy teraźniejsze położenie Słowian, ich ruch umysłowy. Sami ubolewamy, że o katedrze musieliśmy wyrzec surowe zdanie. Ci, których do niéj wezwano, widocznie nie zrozumieli swego powołania, przeznaczenia ka-

tedry, może stanowczo zrujnowali to, co tylko najdobroczynniejsze i najpotrzebniejsze Słowianom udzieliła Opatrzność. Mickiewicz miał więcéj nauki, więcéj natchnienia, więcéj świetności, więcéj umysłowéj siły. Mógł był wydołać swemu obowiązkowi. Lecz Mickiewicz chciał przedstawiać teorie, widzenia, objawienia, i upadł. Pan C. Robert, jako widno, przez podróże poznał nieco Słowian w Turcyi, nie miał żadnych przygotowań, nie znał zupełnie tych słowiańskich narodów, które najwięcéj żyły, ktore najwięcéj rozwinęły duchowych potęg, u których najświetniéj rozwinęło się piśmiennictwo. Posiada zwyczajne pisarskie zdolności, takie, których ani ganić, ani chwalić nie można. Przyzwoita mierność, która nie razi niczém ale i nie zajmuje niczem. Między jednym i drugim przecież zaszło zdumiewające, fatalne zbliżenie. Jeden i drugi okazali niezwyciężony wstręt ku katolicyzmowi. Mickiewicz za wiele przyznał Moskwie, jéj duchowi, jéj zasługom. Pan Cyprian Robert za daleko uwielbił kościół wschodni, Illiryzm, — wynalazł sobie prawdziwsze czarodziejskie wyrazy: *świat Grecko-Słowiański, wschodnie słowiańskie dążenia*, któremi wszystko, wprawdzie dla siebie tylko, najszczęśliwiéj tłumaczy. Jeden i drugi ponieśli ukaranie za niezrozumienie swojego powołania. Mickiewiczowi odebrano katedrę. Drugi ze swéj katedry na sali nikogo nie widzi. Katedra słowiańskiéj literatury we Francyi nędznieje, albowiem cudzoziemcowi możeż być udzielone poznanie, widzenie słowiańskiéj duchowéj natury? Lecz chcemy wierzyć, rząd francuzki nie będzie zrażony, ponowi swój wybór i znajdzie Słowianina, który podniesie zrujnowane znaczenie katedry, zrozumie jéj piękne przeznaczenie.

Sądzimy, że po za cel, który najpewniéj rząd francuzki zakreślił, sięgać nie należało. Rząd francuzki nie polecał wykładać politycznych i religijnych teoryi, pisać formuły Słowianom i Europie. Słowiańskie piśmiennictwo przedstawić należało, ukazać umysłowe i duchowe jestestwo Słowian, takie, jakie oni sami pojęli, jakie oni sami historycznie stworzyli. Pewna szlachetna, że powiemy,

religijna spokojność względem wszystkich Słowian nie byłaby była szkodliwa. Nie należało mieć ani rossyjskiéj, ani polskiéj, ani illiryjskiéj myśli — ku żadnéj nie mieć wstrętu, dla żadnéj nie mieć uwielbienia. Właściwie ocenić, umiejętnie zrozumieć to, co było. Być sprawiedliwym dla Rossyi, dla Illiryi, dla Polski. Każdéj słowiańskiéj spółeczności zostawić jéj znaczenie, jéj myśl, jéj historyczne działanie, jéj zasługi, jéj wykształcenie. Lecz téj sprawiedliwości, téj religijnéj spokojności dla katolicyzmu, dla polonizmu nie mieli ani Słowianin, ani cudzoziemiec.

Pozwalamy sobie wynurzyć życzenie, które polecamy miłującym narodowe piśmiennictwo, chcącym je podnosić i wykształcać. Przez założenie katedry rząd francuzki dał początkowanie, które naśladowano, którego ważność zrozumiano. Powstały mnogie katedry, poświęcone wyłącznie wykładowi słowiańskich naukowych rzeczy. Lecz nie ma żadnéj katedry słowiańskiéj, niepodległéj, mogącéj powiedzieć i przedstawić wszystko. Słowiańszczyzna, żadna jéj narodowość nie ma głosu o rzeczach, o których ona sama stanowićby powinna. Nie ma sposobu zrozumienia saméj siebie, i aby przez innych zrozumiana być mogła. Co przeszkadza, aby wewnątrz Słowiańszczyzny, a jeżeli nie, we Francyi nawet powstać miała katedra słowiańskich rzeczy, wzniesiona przez usiłowanie samychże Słowian. Nic. Trzeba tylko szlachetnéj i rozumnéj woli. Przedsięwzięcie, które rząd cudzoziemski wznowił i wykonał, sami Słowianie naśladować, a szczególniéj zrozumiećby powinni. Jest to dla nich, dla ich piśmiennictwa najszlachetniejsza, najdobroczynniejsza potęga. —

Sazavo-Emmauzkoje Svjatoje Blagoviestvovanije, nynieże Remeskoje,

na nieże prijeże prisjagassa pri vienczalnom myropomazanii cari francustii. S pribavleniem s boku tegoże cztenija latinskymi bukvami sliczeniem ostromirova evangelia i ostrożskych cztenii. Trudom i iżdiveniem, Vaszczeslava Hanky. 8vo XXXII. 200 w Prazie. Peczat Bogumila Haaze 1846.

Taki jest całkowity nowy tytuł w cerkiewnym języku dany przez wydawcę rękopismowi słowiańskiemu, znajdującemu się w Rheims, w obecném wydaniu po drugi raz drukiem ogłoszonemu. Pierwsze wydanie wyszło w Paryżu 1843., nakładem Mikołaja samodzierzcy Wsierossyjskiego pod tytułem: „Evangelia slavice quibus olim in Regum Francorum oleo sacro inungendorum solemnibus uti solebat ecclesia remensis, vulgo *Texte du Sacre*, ad exemplaris similitudinem descripsit et edidit Silvestre, ordinis S. Gregorii Magni unus e Praefectis aliorumque ordinum Eques.“ Winniśmy zaraz na wstępie oświadczyć P. Hance wdzięczność naszę za piękne, troskliwe, zu-

pełne, i w każdym względzie równie uczonego jak miłośnika literatury słowiańskiéj zadowalniające wydanie, przez które pomnik ten starożytny, w piśmiennictwie słowiańskiém jeden z najdawniejszych, w kształcie, w jakim go mamy przed sobą, i dla umiarkowanéj ceny księgarskiéj, rzeczywiście teraz dopiero stał się dla nas przystępnym. Wydanie bowiem paryskie, zabrane w całości do Petersburga, w pojedyńczych tylko exemplarzach dostało się do główniejszych bibliotek europejskich i nie weszło całkiem w handel, zbyt kosztowne dla prywatnego nabycia. Z tego to wydania, przedstawiającego z wielką dokładnością i przepychem facsimile rzeczonego rękopismu, P. Hanka odcisnąć kazał cyrylski text zupełny, w dwóch na każdéj stronie kładąc go kolumnach, umieścił, dla mniéj obeznanego z cyrylskiém pismem, na przybocznych stronach tenże sam text łacińskiémi wypisany głoskami, przytoczył, zamiast odciśniętego w pierwszém wydaniu odpowiedniego textu łacińskiéj wulgaty, będącéj w każdym ręku, dla porównania daleko stósowniéj, jednobrzmiący text prawie równoczesnego ewangelium Ostromirskiego i Epistół ostrożskich, a zestawiwszy w końcu obok siebie warianty tych najdawniejszych języka cyrylskiego zabytków, przygotował uczony wydawca z wielką troskliwością i pracą materyał czysty a nieoceniony dla każdego ewangelicznéj mowy słowiańskiéj badacza. Rozprawa wreszcie o losach sazawo-emmauzskiego rękopismu, poprzedzająca wydanie, udziela nam naprzód znajomych już poniekąd z pism czasowych francuzkich, ruskich, czeskich i polskich szczegółów historycznych, tyczących się rękopismu, daje nam zupełny opis dzisiejszéj fizyonomii jego wedle urzędowego sprawozdania K. L. Jastrzębskiego, obznajmia bliżéj z całkowitą treścią książki, opisuje wydanie paryskie, i podaje w końcu i czyni krytyczny rozbiór treści rozprawy umieszczonéj przed témże wydaniem przez ś. p. Kopitara, który, jak w wielu innych względach, tak i co do starożytności tego rękopisu i jego języka, innego co świat uczony i nasz wydawca był zdania.

Nie mając zamiaru wdawać się na tém miejscu w spór ten uczonych, który tylko po ścisłym rozbiorze i porównaniu języka ewangelium sazawo-emmauzskiego i ostromirskiego rozstrzygniętym być może, za właściwszą rzecz uważamy, zebrać i przytoczyć dla liczniejszéj publiczności główniejsze, a z dawniejszych już badań znane, historyczne szczegóły będącego w mowie rękopismu. Ciekawą jest jego historya. Znajomém już było od początku zeszłego wieku uczonemu światu, że w mieście Rheims we Francyi znajdowało się w rękopiśmie od niepamiętnych czasów ewangelium słowiańskie, na które królowie francuzcy przy koronacyi i namaszczaniu w tém mieście przysięgę składali! Oprawne bogato w złotą, drogiemi kamieniami i świętemi relikwiami ozdobioną okładkę, przechowywane było pomiędzy koronacyjnemi królewskiemi klejnotami, znane pod nazwiskiem: *Texte du sacre.* Długo niewiedziano zkąd? kiedy? jak się do Rheims dostało? jakim językiem? przez kogo? w jakim czasie było pisane? Mniemano powszechnie, że było pisane w jednym z wschodnich języków. Dopiero Piotr W. car moskiewski, który je w r. 1717. widział, pierwszy powiedział dozorcom skarbu, że było pisane po słowiańsku. Widział je także r. 1721. sekretarz podróżującego rossyjskiego posła, i ten, na żądanie jednego rheimskiego kanonika, pierwszą stronę rękopismu przetłumaczył, która do dziś dnia jest zachowana i zupełnie z rękopismem naszym się zgadza. Widział je wreszcie jeszcze w końcu 1798. roku podróżujący Anglik Thomas Ford Hill, który, przybywszy do Wiednia, gdy mu w cesarskiéj bibliotece między innemi literackiemi osobliwościami pokazano książkę głagolickiém pismem drukowaną, zapewniał ówczesnego bibliotekarza Duricha, że druga część Texte du Sacre tak samo pisana była. Od téj pory uczeni słowiańscy więcéj rękopismem tym zajmować się poczęli. Karól Alter, następca Duricha w bibliotece wiedeńskiéj, świadectwem podróżnego Anglika jako i Büschinga i Mayera umocniony, że obiedwie części rękopismu są po słowiańsku pisane, też o nim pierwszą

w rozprawie w Philologisch-kritische Miscellaneen von F. C. Alter, Wien 1799. p. 244. oddrukowanéj. dał, wszakże na domysłach tylko opartą, wiadomość. Wiedząc zkądinąd, że przy wzięciu Konstantynopola przez Krzyżowników, Wenecyanie mnóstwo rzeczy z łupieży kościoła S. Zofii i innych klasztorów zabrali, między któremi się także ewangelie we wszystkich językach znajdowały, wniósł że w ich liczbie znajdować się też mogła słowiańska xiążka, przechowywana późniéj w katedrze rheimskiéj. Rozprawa Altera obudzała ciekawość uczonych i zachęcała do ściślejszego rzeczy poszukiwania, gdy właśnie Silvestre de Sacy w Millin Magasin encyclopédique 5 année I. VI. 457 i r. 1799. ogłosił: „że nieoceniony rękopism Texte du Sacre, w dniach barbarzyństwa, gdy niewyrozumiały fanatyzm nieświadomości, nadęty imieniem filozofii, wznosił tron swój na rozwalinach nauk i religii, zaginął nazawsze. Sądzono bowiem powszechnie, że stał się pastwą płomieni, równie jak wielkie mnóstwo innych kosztownych przedmiotów, tyczących się nabożeństwa i nauk, zabranych wraz z koronacyjnemi klejnotami ze skarbu katedry rheimskiéj, i wrzucanych na stós, jako ofiara poniesiona nowemu bóstwu — Rozumowi, w dniach tych, w których zaślepieńcy najpiękniejszy chram w tém mieście bóstwu temu na cześć poświęcili.“ Odtąd przez blisko pół wieku nic o rękopiśmie tym nie wiedziano. Przeciągały tylko jeszcze pozagrobową jego exystencyą ciągłe pomiędzy uczonymi spory, domysły, sądy — tém obfitsze, im trudniéj było mylność tego lub owego zdania wykazać. Jedni z Alterem wychodząc z zdania Piotra, utrzymywali, że rękopism cały był tylko po cyrylsku pisany, że zabrany był r. 1204. przez Krzyżaków z zakrystyi kościoła Św. Zofii w Konstantynopolu i od nich do Francyi przyniesiony. Drudzy wspólnie z Dobrowskim, opierając się na podaniu Hilla, dowodzili, że było w nim głagolickie i cyrylskie pismo, i uważali za podobniejsze do prawdy, że drogi ten pomnik literacki dopiero około roku 1250. za Ludwika S., dostał się do Francyi darem serbskiéj królowéj Heleny, która była xię

żniczką francuzką, zwolenniczką kościoła łacińskiego, mającego od r. 1248. własne głagolickie pismo, od papieża dla liturgii słowiańskiéj prawnie dozwolone. Inni jeszcze mniemali, że go córka księcia Jarosława ruskiego do Francyi przyniosła, i t. d. (zob. Mellin Magasin encyclopédique 1799.; Alter Miscellaneen; Eichhorn, Biblioth. d. bibl. Lit. T. 10; Dobrowsky, Slavin.).

Nad wszelkie spodziewanie poszczęściło się przed kilku laty podróżnemu rossyjskiemu, A. I. Turgeniewowi, przy przeglądaniu rękopismów biblioteki rheimskiéj, wpaść na ślad naszego ewangelium. Wiadomo, że Napoleon, zostawszy pierwszym konsulem, rozkazał, aby ostatki zachowanych po kraju rękopismów i rzadkich książek do bibliotek municypalnych niezwłocznie zniesione były. Tym sposobem dostał się i Texte du Sacre, nagi wprawdzie i z ozdób swych obdarty, ale zresztą cały, do miejskiéj biblioteki w Rheims. A że się przy nim znalazło także wyżéj wspomnione tłumaczenie pierwszéj jego stronnicy, było oczywistém, że rękopism nowo odkryty był tenże sam, który miano za stracony. P. Turgeniew nie omieszkał donieść natychmiast o odkryciu swém uczonym petersburskim. Od nich uwiadomiony o ocaleniu rękopismu ś. p. Kopitar, postarawszy się o dokładniejszy jego opis, wnioski i domysły swe w publicznych ogłosił pismach, obiedwie części rękopismu, cyrylską i głagolicką do XIV. odnosząc wieku. Następnie p. Sergij Michajłowicz Strojew, który sam na miejscu rękopism oglądał, bliższą o nim w czasopiśmie rossyjskiego ministerium oświecenia a późniéj w Północnéj Pszczole dał wiadomość, wyraźnie rok 1395, według przypisku znajdującego się na ostatniéj stronie rękopismu, dając mu za początek. Równocześnie Pan Szafarzyk w Czasopismie czeskiego Muzeum na rok 1838. oznajmił o nim swe zdanie, wstrzymując się słusznie, bez znania go naocznie tak co do kształtu pisma, jako i treści, z oznaczeniem czasu jego powstania, mieniąc go jednak z dat o nim powziętych, starszym nad wiek XIV. Dopiero P. Jastrzębski, uczeń dyplomatycznéj szkoły w Paryżu, posłany z polecenia

ministra oświecenia Pana Salvandego do Rheims, aby się naocznie o wartości tam znajdującego się rękopismu słowiańskiego przekonał, w Journal général de l'instruction publique, mois Septembre 1839, zdał urzędową o rękopiśmie tym sprawę, opisawszy go szczegółowo, tak co do kształtu, jako i treści, i oznaczywszy, zgodnie z wspomnionym wyżéj a znajdującym się na ostatniéj stronie rękopismu przypiskiem, że cyrylska część rękopismu pisana była własnoręcznie przez Św. Prokopa, opata klasztoru sazawskiego w Czechach, a zatem między 1010. a 1040. r., do któréj przyłączona była późniéj część głagolicka, pisana wedle tegoż przypisku 1395. r. W tym samym prawie czasie także P. Hanka, bez znania rozprawy P. Jastrzębskiego, li tylko z treści wspomnionego przypisku, podanego najprzód w rozprawie Strojewa, i złomków obojego pisma, przysłanych mu przez rheimskiego bibliotekarza Parisa, do tegoż samego we względzie wieku rękopismu, co P. Jastrzębski, doszedł rezultatu, ogłaszając takowy, wraz z niektóremi historycznemi szczegółami, tyczącemi się życia S. Prokopa i klasztorów słowiańskich w Czechach na Sazawie i na Emaus w Pradze, w Czasopiśmie czeskiego muzeum na miesiąc Grudzień r. 1839. Treść tych rozpraw zebraną i przedstawioną była przez autora niniejszego artykułu w Poznańskim Tygodniku literackim na r. 1840. Nr. 12. 13. i 14. Koniec rozprawom tym dorywczym i cząstkowym położyło wydanie rękopismu Paryskie 1843. r. A tak jako Silvestre de Sacy wszelką nam nadzieję odszukania tego skarbu literackiego był odjął, tak drugi Silvestre, kalligraf królewski, za przyczynieniem się cara rossyjskiego, żywo go oczom naszym przedstawił. P. Hanka nareszcie obecném wydaniem paryskiém, nie żałując na nie i pracy i kosztów, przyłożył się szczególnie i najwięcéj do obeznania nas z tym nieocenionym dotąd zupełnie literatury słowiańskiéj pomnikiem.

Żałujemy, że na ten raz brak czasu i miejsca nie dozwala nam wejść w szczegółowy rozbiór ostatniéj części przedmowy szanownego wydawcy, w któréj zbija niektó-

re punkta umieszczonych przed wydaniem paryskiém obszernych prolegomenów historycznych Kopitara — upierającego się, bez słusznych dowodów, przy zdaniu swém, że równie cyrylska, jak głagolicka część rękopismu nie jest starszą nad wiek XIV., a to bez względu na wyraźne słowa wyżéj już wspomnionego, na ostatniéj stronie rękopismu znajdującego się przypisku, które brzmią: „A druha strana tiechto knižek, jenž jest podle russkeho zakona, psat jest svati Prokop opat svu ruku, a`to pismo russke dal nieboztik Karel cztverti, car rzimski k oslaveni tamuto klaszteru (na Emaus w Pradze), a ke cti svatemu jeronimu i svatemu prokopu," jako i bez względu na to, że język ewangelium rheimskiego, porównany z językiem ewangelium ostromirskiego, jak to już z przykładow przez P. Hankę w przedmowie przytoczonych widać, starszym jest co do niektórych form grammatycznych a nawet co do kształtu niektórych liter. Bliższe porównanie obudwóch rękopismów przez znawców słowiańskiego języka mocniéj nas z czasem o tém przekona. Dzielimy więc zdanie PP. Jastrzębskiego i Hanki, że rękopism ewangelium rheimskiego był rzeczywiście pisany własną ręką Ś. Prokopa. Co przyjąwszy za prawdę, oznaczyć zarazem możemy wiek, w którym był pisany. Ś. Prokop, jak nam historia powiada, (zob. Palacki Gesch. v. Böhmen T. I. str. 266; Dobrowski Slavin str. 295), rodem Czech, we wsi Chotuń pod Pragą, na Wyszehradzie w języku i piśmie słowiańskiém, niegdyś przez Św. Cyrylla wynalezioném, wyuczony, służbie Bożéj się poświęciwszy, przebywał od r. 1009. długi czas na puszczy, był potém opatem klasztoru sazawskiego, założonego około 1032. r., a doczekawszy późnéj starości, umarł tamże 25. Marca 1053. roku. W którymkolwiek więc życia swego roku Ś. Prokop rzeczone ewangelium pisał, czy to jeszcze przed owém pustelnictwem r. 1009., aby miał z sobą książkę do modlitwy na puszczy, czy téż podczas pustelnictwa, czy téż dopiero po r. 1031., gdy został opatem klasztoru Sazawskiego; w każdym razie ewangelium to starsze jest niż miane dotąd za najstarsze ewangelium ostromirskie

pisane r. 1056. i 1057. Obadwa zaś są to mniéj więcéj wierne przepisy pierwotworu cyrylskiego, który zaginął. —

Znamy więc już z świadectw, tu przytoczonych, pisarza, wiek i ojczyznę rheimskiego ewangelium, oraz miejsce, gdzie się początkowo znajdowało. Trudniéj nam oznaczyć, bo na to nie mamy żadnych historycznych dowodów, jakie były jego losy, nim się dostało cesarzowi Karólowi IV. Podanie tylko niesie, że po wypędzeniu przez księcia czeskiego Brzetysława r. 1096—1097. księży słowiańskich z klasztoru sazawskiego, w którym jedynie jeszcze obrządek słowiańsko-grecki się zachowywał, książki ich nabożne miały być wtenczas całkiem poniszczone i potracone. Widać wszakże z naszego ewangelium, że się tak nie stało; wnosić owszem wypada, że znaczniejsze z nich, ocalone przez wypędzonych księży, długi czas przechowywały się w ukryciu, nim szczęśliwa okoliczność ułamku jakiego na światło nie wydobyła, lub późniejsze burzliwe czasy nie zniszczyły na zawsze. Być może, że niejeden jeszcze drugi z owych czasów zabytek w klasztornych butwieje pleśniach. Z takowegoż to poniżenia wydobył zapewne nieznany nam miłośnik języka słowiańskiego i nasz rękopism, a jako rzadką dawnych wieków pamiątkę, darował lub sprzedał Karólowi IV., cesarzowi rzymskiemu a królowi czeskiemu, wielkiemu, jak świadczy historya, przyjacielowi i opiekunowi narodowości, mowy i literatury słowiańskiéj a w szczególności czeskiéj. Z dokumentów drukarskich w dziele Pelzela: Karl der vierte römischer Kaizer, König in Böhmen. Prag 1780.; dowiadujemy się, że król ten d. 19. Listopada 1347. r. wydał fundacyjny akt na założenie klasztoru benedyktyńskiego dla Słowian na przedmieściu Prazkiém ku czci słowiańskim Świętym, Cyryllowi, Methodowi, Wojciechowi i Prokopowi, jako téż i Świętemu Hieronimowi; o którym wtenczas było podanie, że biblią z hebrajskiego na język słowiański przełożyć i głagolickie pismo wynaleźć miał. Karól postanowił, aby się w tym klasztorze msze, pieśnie, godzinki i wszystkie słu-

żby boże, jak to papież Klemens VI. był potwierdził, i jak to w słowiańskich ziemiach obyczajem było, zawsze w słowiańskim odbywały języku — rozumie się podług obrządków liturgii łacińskiéj, któréj się także Głagolici w Dalmacyi trzymali. W końcu pisma tego król prosi następców swych i napomina ich bardzo surowo, aby nic nie zmieniali, a ktoby się mimo tego poważył czynić inaczéj, na tego gniewu bożego żąda. Prócz wielu hojnie wymierzonych dochodów, Karól przeznaczył roczny dochód dziesięciu grzywien dla klasztornego pisarza, aby ustawicznie książki w szlachetnym języku słowiańskim (nobilis linguae slavonicae) pisał i przepisywał. Nareszcie d. 23. Marca 1372. r. w Środę po Wielkiéjnocy Karól w przytomności licznie zebranych książąt, panów, biskupów, księży niemieckich i czeskich, klasztor ten słowiański na Emaus w Pradze, po dziś dzień stojący, przez arcybiskupa prażskiego jak najuroczyściéj poświęcić kazał. Temu to klasztorowi, jak powiada wyżéj przytoczony przypisek, Karól IV. Ewangelium w mowie będące, to jest część jego cyrylską, dał w ofierze, i tu też podobno przyłączoną była do niego przez jednego z mnichów klasztornych, którego nazwisko nam nieznane, druga część rękopismu, pisana głagolickiém pismem, używaném szczególnie w liturgii słowiańsko-łacińskiéj, zawierająca pontyfikalne lekcye, mające być śpiewane na gody, gdy opat koronowany mszą odbywa. Część ta jest z r. 1395, jak świadczy wyraźnie pierwsza połowa przypisku, w następujących zawarta słowach: „Let hospodnich 1. 3. 9. 5. tato evangelie a epistolie, jesto su pisani slovieńskim jazikem, ti jmaji spievani biti na hodi, kdiž opad pod korunu mszi sluzi.“ Wszakże jest to według wszelkiego podobieństwa do prawdy tylko kopia innego nierównie może starszego nieznanego nam rękopisu głagolickiego, tak samo jak i część cyrylska, nie będąca także nowém tłumaczeniem, ale tylko jedną z licznych zapewne kopii pierwotworu uskutecznionego niegdy przez z. Cyrylla i Methoda. Obiedwie te części spojone z sobą, i w grubą dębową, drogim kamieniem, złotem i świę-

temi relikwiami ozdobioną okładkę oprawne, przechowywały się aż do zaburzeń Hussyckich w pomienionym klasztorze, używane będąc przy uroczystościach do czytania ewangelii i lekcyi w języku słowiańskim. Miejsce pierwotnego ich utworu i przebywania było Panu Hance powodem, że nazwał je ewangelium *Sazawsko-Emausskiém*. Domysł, że zabrane było z klasztoru Emauzskiego w czasie zaburzeń Hussyckich, opiera wydawca na opowiadaniu Paprockiego in Diadocho str. 364. który prawi: że za opata Pawła II. dnia 16. Października 1419. r. wojsko Żyżkowe podstąpiło pod słowiański klasztór, zamierzając go zburzyć. Opat nie wiedząc innéj rady, kazał klasztór otworzyć i wyszedł z braćmi w kapłańskie obleczonymi szaty i z ciałem Pańskiém naprzeciw wojsku, żądając, aby się uspokoili, i kościoła Bożego, od cesarza Karóla ku czci narodu słowiańskiego, z którego i Czesi poszli, wystawionego, nie burzyli. Przyobiecały to czynić wojenne roty, ale ażeby im niezwłocznie pod obiema postaciami kommunią dano, co też opat uczynił; po przyjęciu jednak zmuszony był otworzyć zakrystyą, z któréj zabrano klejnotów mnóstwo." Domysł więc P. Hanki, że między temi zabranemi klejnotami znajdowało się także nasze ewangelium, na którego okładkach były kosztownie oprawne relikwie Świętych, jest w istocie bardzo do prawdy podobnym, zawsze jednak jest tylko domysłem.

Na domysłach także opartą jest późniejsza historya rękopismu aż do czasu dostania się jego do rąk kardynała Lotaryńskiego, który go już r. 1554. posiadał, a r. 1574. kościołowi katedralnemu w Rheims podarował, z przeznaczeniem, aby nań w dzień koronacyi królowie francuzcy przysięgę składali. Tu panowało o nim podanie, że pochodził ze skarbu konstantynopolitańskiego, i że wydobyty był z biblioteki Ś. Hieronima. Świadczy o tém opis inwentarza klejnotów kościoła rheimskiego z 1699. r., jako i przyłożona do rękopismu tabliczka, na któréj r. 1782. Perceval, pisarz i winiarz w Sacy, własną ręką te między innemi napisał słowa: „Ce texte a été donné à l'eglise de Rheims par la cardinal de Lorraine en 1574.

La tradition est, qu'il provient du trésor de Constantinople, et qu'il a été tiré de la bibliothèque de Saint-Jerôm. La première partie du livre est en caractères serviens.... et en langue orientale; la seconde est en caractères illyriens.... et en langue indienne ou sclavonique.... Le roi prête serment le jour du sacre sur ce livre, dont le couvercle est garni etc.“ Podanie to wyraźne o pochodzeniu rękopismu naszego z Konstantynopola i z biblioteki ś. Hieronima nieboszczyk Kopitar uważał za podobną bajkę, jak wyżéj przytoczone a wątpliwości żadnéj nie podpadające świadectwo, że cyrylska część rękopismu pisaną była własnoręcznie przez ś. Prokopa. P. Hanka okazawszy prawdziwość ostatniego, starał się także okazać, jeżeli nie nieomylność, to przynajmniéj podobieństwo do prawdy podania pierwszego. Przyznaje, że mu się na poparcie tegoż nie poszczęściło dotąd znaleść dostatecznych historycznych dowodów, opierając się wszakże na korrespondencyi Utrakwistów czeskich z Konstantynopolem, prowadzonéj między rokiem 1450—1452, i przytoczonéj w dziele: „O protivenstvi cirkve czeske. v Lesznie 1655. a podruhe w Amsterodamie 1663. str. 49., mniema: że kiedy po wzięciu Pragi przez Jerzego Podjebrada, gdy w skutek dekretu soboru florenckiego którym Utrakwiści czescy znów za kacerzy ogłoszeni byli, znikła była wszelka nadzieja pojednania się z Rzymem, stany czeskie i księża Utrakwiści, na wniosek Rokiczana, który co tylko mógł przeciw papieżowi wymyślał, głosem i wyrokiem sejmu i synodu, r. 1450. w Pradze odbytych, postanowili przyłączyć się do kościoła greckiego, i w tym celu wyprawili do Konstantynopola poselstwo, na którego czele stał M. Konstantyn Angelik; do listów zebranych przez posłów, dla ułatwienia im czynności i zapewnienia lepszego przyjęcia i skutku, mniema P. Hanka, że przyłączoném także było w darze Sazawo-Emausskie Ewangelium. Wspomniony list przynajmniéj mniemaniu temu nie stoi na przeszkodzie, a podanie Rheimskie mówi wyraźnie, że książka ta ze skarbca konstantynopolitańskiego pochodzi.. Że zaś z książnicy ś. Hie-

ronima wyjętą była, to odnieść potrzeba, według zdania wydawcy, do książnicy emauzskiéj w Pradze, a nie do konstantynopolitańskiéj.

W braku przeciwnych dowodów przyłączamy się do osnowy powyższego podania i mniemania wydawcy, chociaż za podobniejsze uważamy do prawdy, że książka w mowie będąca raczéj prywatną, przez którego z Hussytów albo mnichów słowiańskich z Emaus, aniżeli publiczną drogą przez wyżéj wspomniane poselstwo, i to prędzéj jako przedmiot wielkiéj wewnętrznéj i zewnętrznéj wartości, aniżeli jako dowód religijnego czeskich Utrakwistów z Grekami pokrewieństwa, dostała się, nie darem ale raczéj przedażą do Konstantynopola. Od kościoła greckiego, który wtenczas właśnie ze strony Turków w największém zostawał niebezpieczeństwie, a dla odwrócenia takowego nie wahał się nawet na soborze Florenckim przystąpić do unii z kościołem rzymskim, od kościoła greckiego, mówię, Utrakwiści czescy żadnéj spodziewać się nie mogli pomocy, a poselstwo przez nich wyprawione, w celu połączenia się z nim, miało więcéj charakter nienawiści zwycięzkiéj chwilowo partyi religijnéj przeciwko katolikom, aniżeli było życzeniem i powszechną wolą narodu. A gdy i kościół słowiańsko-emausski w Pradze wybudowany i ustanowiony przez Karola IV. nie odprawiał nabożeństwa wedle obrządku greckiego, ale rzymskiego, z tą tylko różnicą, że je odprawiał, podobnie jak katoliccy Głagolici w Dalmacyi, w języku słowiańskim: posłana w darze dla patryarchy konstantynopolitańskiego książka ewangelii słowiańska, w jakimże względzie miała być świadectwem powinowactwa religijnego Utrakwistów z kościołem greckim, nie będąc symbolem wiary ani jednych, ani drugiego? w jakim względzie, jeżeli chyba nie jako przedmiot kosztowny, miała ułatwić i przyspieszyć przyjęcie i układy poselstwa? Dla tego tylko czynimy tu te uwagi, aby odwieść Czytelnika od tego fałszywego, a w naszych czasach, ilekroć mowa jest w zachodniéj Słowiańszczyznie o kościele słowiańskim, z pewnéj szczególnie strony, często-

kroć umyślnie i z złą wiarą popieranego mniemania, jakoby kościół ten słowiański w którymkolwiek czasie, począwszy od samego Cyrylla i Methoda, był kościołem greckim, a mianowicie dzisiejszym kościołem grecko-rossyjskim, i jakoby kiedykolwiek i gdziekolwiek w zachodniéj słowiańszczyznie kroki i usiłowania narodu powszechne czynione były do przejścia do schizmy.

Wracając do rzeczy, powtarzamy, że się nie sprzeciwiamy podaniu, że Ewangelium Emausskie, nim się dostało do Francyi, znajdowało się w Konstantynopolu. Kiedy jednakże i przez kogo tam było przeniesione? gdzie i jak długo tam się znajdowało? dla braku dowodów nic nie twierdzimy z pewnością. Jeżeli się znajdowało w skarbcu tamecznym, to jest w skarbcu kościoła S. Zofii, nie długo zapewne tam było, gdy już w dwa lata po owém poselstwie Utrakwistów, r. 1453. Konstantynopol wpadł w ręce Turków i poszedł na łup, a kościół rzeczony, przemieniony był na meczet Mahometa. Zdaje się, że odtąd Ewangelium nasze dzieliło losy licznych innych obcych rękopismów, które ocalone w tém powszechném na wschodzie zniszczeniu, przechodząc z rąk do rąk, dostawały się różnemi czasy do zachodnich chrześciańskich bibliotek — świetne pomniki dawnéj, bogate źródła nowéj kultury europejskiéj. Tąż drogą, po blizko stuletniéj nieznanéj nam pielgrzymce, dostał się i rękopism nasz w połowie XVI. wieku do rąk kardynała Lotaryńskiego, który go, jako arcybiskup rheimski podarował r. 1574. katedralnemu kościołowi swemu, i dla wielkiéj wewnętrznéj i zewnętrznéj wartości i świętości klejnotem koronacyjnym uczynił. Od kogo kardynał książkę tę nabył, nie mowimy z pewnością. Dowiadujemy się tylko z wyżéj wspomnionego opisu inwentarza klejnotów rheimskich i z tego, co P. Jastrzębski o dotychczas tamże przechowywanych zabytkach starożytnych podał do publicznéj wiadomości, że prócz naszego Ewangelium znajduje się jeszcze między niemi inny manuskrypt grecki, podobnie ozdobiony i bardzo pięknie pisany, nadto jedna tabliczka, z dwóch części złożona, również różnemi świętemi pa-

miątkami i kosztownościami ozdobiona, które to zabytki, wedle wyraźnego świadectwa, były także własnością rzeczonego kardynała, pochodziły także, podobnie jak nasze Ewangelium, ze skarbca konstantynopolitańskiego, były zaś ofiarowane kardynałowi przez niejakiego Paleokappa, malarza konstantynopolitańskiego, a nareszcie stały się tegoż samego r. 1574. z daru kardynała, własnością katedralnego kościoła w Rheims. Z tego świadectwa Pan Hanka czyni bardzo podobny do prawdy wniosek, że i rękopism „Texte du sacre" znajdował się w ręku Paleokappa, który, kupcząc zapewne podobnemi pomnikami, przyniósł go około 1546. r. na Sobór Trydencki, i tam go kardynałowi Lotaryńskiemu ofiarował lub sprzedał. Okoliczność ta stwierdza także więcéj, niż wszystkie inne powyższe domysły, mniemanie wydawcy, że Ewangelium nasze przechowywało się istotnie przez czas niejaki w Konstantynopolu. Dziwniejszą jest rzeczą, że po tak długiém tułactwie, przechowało się w całéj swéj pierwotnéj ozdobie. To dowodzi, że się znajdowało zawsze w ręku osób, które je cenić i czcić umiały. Podług wspomnionego wyżéj opisu, było oprawione w złoconą śrebrną okładkę, któréj wierzchnia strona wyłożona była drogiemi kamieniami i pięciu kryształami, pod któremi było kilka relikwii, jako to: krzyżyk z drzewa prawdziwego krzyża, relikwie świętych apostołów Piotra i Filipa, Św. Sylwestra papieża, S. Cyrylla, Ś. Marty, Ś. Małgorzaty, przepaski Chrystusa Pana; w czterech rogach głowy ludzkie, srebrne z emaliowanemi skrzydłami. Takowe na okładce bogactwo rzadkich i nieocenionych świętości, ewangeliczna treść książki, nieznajomość jéj pisma i języka, który miano już to za grecki, syryjski, armeński, już to za indyjski, już to nakoniec za słowiański; tajemniczy jéj początek i dalekie pochodzenie, to wszystko otaczało ją pewnym urokiem czci i poszanowania, i było zapewne kardynałowi powodem, że nietylko nosił ją jako ś. relikwią przy uroczystościach processyjnych, jak to *Piganiot de la Force* w podróży swéj po Francyi poświadcza, ale nadto wyniósł ją do godności klejnotu korona-

cyjnego, z tém przeznaczeniem, aby na nią królowie francuzcy w czasie koronacyi, dotykając się jéj palcami, przysięgę składali! Odtąd nazywała się „Texte du sacre," a królowie, którzy na nią kolejno przysięgali, byli: Henryk III. i IV., Ludwik XIII., XIV., XV. i XVI.

W takowém ewangelium nasze zostawało poważaniu, gdy naprzód Piotr W., a potem Anglik Tomasz Ford Hill, zwrócili na nie po raz pierwszy uczonych słowiańskich uwagę. Mówiliśmy już o tém wyżéj. Wspomnieliśmy także już o mniemaném zniszczeniu rękopismu w dniach rewolucyjnych, również o odkryciu jego przez Turgeniewa, jako i o następnych jego losach. Kończymy na tém nasze sprawozdanie, w którém szczególnie historyczną stronę rękopismu mieliśmy zamiar rozjaśnić i w najgłówniejszych przedstawić zarysach. Bo dziwną zaiste i myśl Słowianina silnie zajmującą jest historya téj ewangelicznéj książki! Wiążą się do niéj, jak uważaliśmy, wielkie wypadki nietylko historyi słowiańskiéj, ale i historyi świata. W opisie jéj losów zebraćby można całą przeszłość bytu historycznego Słowian. Czterykroć stracona, czterykroć ocalona, raz w czci będąc największéj, drugi raz w poniżeniu, przechowawszy się przez kilka wieków wśród burz, spustoszeń ognia i miecza i na tułactwie, stała się jakby palladium narodowości słowiańskiéj. Jeden z Świętych słowiańskich ją pisał; pisał przez Świętych słowiańskich wynalezioném pismem i pierwotnym u Słowian słowa Bożego językiem. Liczne Świętych relikwie i krzyż z krzyża Chrystusa Pana zdobiły ją i strzegły przez wieki. Opaci, biskupi, arcybiskupi, patryarchowie i kardynałowie używali jéj do nabożeństwa i nosili jako świętą w uroczystych processyach. Książęta, królowie, cesarzowie nią się opiekowali i obcy królowie na nią przysięgali, a najpotężniejszy z dzisiejszych mocarzy wydać ją z wielkim przepychem nakazał. Nie masz już dziś na niéj dawniejszych świętości, ale pozostała treść ewangeliczna cała i nieskażona. Znikła także jéj dawniejsza cześć religijna, z ołtarzy zstąpiła do bibliotek, z słowa żywo-

ta stała się słowem martwéj językowéj nauki, z symbolu wiary, prostym literackim pomnikiem! Czcijmy ją i w tym stanie. To, co raz było prawdziwie żywotném w życiu narodu, jest niém i jako prosta pamiątka. Częstokroć wraca do niéj, jak gdyby z poza grobu, duch dawny, ożywia nas, podnosi umysł, napełnia serce wiarą, i odrodzonych czyni godnymi wielkiéj ojców przeszłości.

Wyprawa Wiedeńska Jana Sobieskiego.

Pobudką zastanawiania się nad wyprawą wiedeńską jest nam nietylko chęć zadosyćuczynienia przywiązaniu do narodowych pamiątek, ale także przekonanie, iż wojna ta ze względu strategicznego niemniéj na uwagę zasługuje i że czyny bohatera, którego imie nieprzyćmionym po wszystkie czasy jaśnieć będzie blaskiem, jak piętno niezrównanéj odwagi, tak równie cechę niepospolitéj znajomości sztuki wojennéj na sobie noszą.

Jenerał Klausewitz mówi we wstępie do tomu X. dzieł które pozostawił:

„O ile z urywkowych i niedokładnych wiadomości „wnioskować się godzi, zdaje się, iż Sobieski świetne „skutki osięgał szczególniéj przez zręczne i szczęśliwie do „okoliczności zastósowane kombinacye strategiczne, które „wszędzie zabezpieczają skutek walk stanowczych, a często go zwiększają. Twierdzićby mozna, że w żadnéj wojnie nie użyto stósowniéj walnych bitew, jak w wojnach „prowadzonych przez Sobieskiego. Oczywiście w ówczesnych okolicznościach charakter strategicznego działania „musiał być zupełnie odrębny. Nie powinniśmy sobie

„wyobrażać, wielce zagmatwanych ruchów, z dokładno-
„ścią matematyczną obliczonych i ściśle w wykonanie wpro-
„wadzonych; waleczność zastępowała prawie wszędzie
„miejsce rachuby, a cała wyższość polegała na tém i ku
„temu li była skierowaną, aby upatrzeć sposobności, w któ-
„rychby męztwo szczęśliwie użytém być mogło, oraz
„punkta wynaleźć, gdzieby przeciwnikowi właśnie wyż-
„szością odwagi jak najdotkliwsze zadać razy. Króla
„Polskiego możnaby przyrównać do rycerza okrytego
„pancerzem, a walczącego z straszliwym potworem, zdol-
„nym cielskiem swém w jednéj chwili zgnieść zapaśnika,
„gdyby go dzielna zbroja nie zasłaniała; do rycerza, któ-
„ry jedynie, wymierzając silne ciosy w najdotkliwsze
„części cielska potworu, zwycięztwo w końcu odnosi.
„Zdaje się, iż podobnego rodzaju strategii nigdzie w tak
„nauczający sposób nie można poznać, jak w wojnach
„Sobieskiego. Jeżeli uważanie nasze jest prawdziwe, —
„czego wszelako z powodu niedokładnéj znajomości przed-
„miotu za stanowczy, niecofnięty wyrok nie ośmielamy
„się podać, — mniemanie, jakieśmy oświadczyli o wielko-
„ści Sobieskiego, jako wodza, dostatecznie uzasadnioném
„się pokaże. Co się tycze zręczności w prowadzeniu
„boju i zdatności taktycznych, z samego już wnioskując
„skutku, najmniejszéj względem nich wątpliwości przypu-
„ścić nie możemy. Nie masz znowu żadnego wojownika,
„któregoby życie znakomitszych czynów, świetnéj odwagi
„i podziwu godnéj stałości umysłu było pełniejsze, jak
„zawód bohaterski Sobieskiego.“

Wyrazy te męża, którego powaga powszechnie jest uznaną, były nam bodźcem do zastanowienia się nad wyprawą Wiedeńską według źródeł, z których oprócz objaśnień, co do strategicznych planów wypraw Sobieskiego, nabyliśmy również wyobrażenia o jego biegłości w prowadzeniu wojen, opartéj na bogatém doświadczeniu uzyskaném przez ciągłe nieomal wojowanie z Turkami, doświadczeniu, które przez dwa wieki przekazywali sobie następujący po sobie znamienici wodzowie.

Poszukiwania podobne, w czasach naszych tém więcéj obudzać mogą interesu, że bliska jest chwila, w któréj w posadach swych najgłębszych chwiejące się państwo Tureckie padnie ruiną, na widowni historycznéj. Z źródeł, z których najobficiéj czerpaliśmy, zasługuje na szczególną wzmiankę dziennik świadka naocznego, w samym już tytule uczciwą dobroduszność zapowiadający. Jest to: „Dyaryusz Wiedeńskiéj Okazyi przez Najjaśniej„szego Króla Jmci Polskiego *Jana Trzeciego*, z wiekopo„mną sławą narodu naszego expedyowanéj, teraz przez „W. Jmci Pana *Mikołaja* na *Diakowcach Diakowskiego*, Pod„stolego Latyczewskiego, natenczas w pokoju tegoż Naj„jaśniejszego Króla Jmci służącego, i pod Wiedniem aktu „będącego, ile przy młodéj natenczas aplikacyi, co rozum „uważyć, oko widzieć, ucho słyszeć, a pamięć pojąć mo„gła, wypisany.“

Podobnaż jak na tytule prostota panuje w całym ciągu Dziennika; niezawodnie opowiadający nie dostrzegł najczęściéj wewnętrznego związku pomiędzy wypadkami, ale pełno jest u niego ciekawych szczegółów, które wszakże objaśnić potrzeba, chcąc im nadać wagę historyczno-wojenną. Wymienimy drugie źródło, niewydane dotąd: ***Pamiętniki Inżyniera** francuzkiego*, nazwiskiem ***Dupont***, zostającego w służbie Króla, a które o biegłości w sprawie wojskowéj autora dostatecznie świadczą. 1) Szczególniéj ważna jest u Duponta korrespondencya Księcia Lotaryńskiego z Sobieskim aż do bitwy pod Wiedniem. Korrespondencya ta niezmiernie się do wyjaśnienia wyprawy w względzie strategicznym przyczynia. Ciekawąśmy także znaleźli polemikę wymierzoną przeciw Pamiętnikom Daleyraka, 2) którego Dupont w znajomości sztuki wojennéj niezaprzeczenie przewyższa.

---

1) Rękopis Pamiętników Duponta znajduje się w bibliotece miasta Aix w Prowancyi. Zbiór Raczyńskich posiada odpis, który zapewne rychło drukiem ogłoszony zostanie.

2) d' Aleyrac był Sekretarzem Maryi Kazimiry. Pamiętniki jego noszące tytuł Memoires secrets sur le Règne de Sobieski są drukiem ogłoszone.

Nim do szczegółowego rozprowadzenia rzeczy naszéj przystąpimy, niechaj się nam pierwéj godzi choć w najgłówniejszych zarysach dać poznać organizacyą wojska, które najważniejszą w sprawie téj odgrywało rolę. Opis starożytnéj Polski Swięckiego i Pamiętniki Daleyraka weźmiemy sobie do pomocy.

Polskie jako też Litewskie wojsko dzielono na wojsko narodowe składające się z saméj jazdy, któréj część najprzedniejszą szlachta tworzyła, i wojsko cudzoziemskie na wzór zagranicznych sił uorganizowane, do którego artylerya, dragonia, rajtarzy i lekka kawalerya należały, a w którém obok Polaków, znaczną część zwykle stanowiących, wielu także cudzoziemców zostających na żołdzie służbę pełniło.

Wojsko narodowe dzielono na chorągwie Ussarzy, Pancernych i Petyhorców. Daleyrak podczas wyprawy Wiedeńskiéj liczył takowéj jazdy 24,000. Pułki cudzoziemskie żołd pobierające składały trzecią część wojska Polskiego, wynosiłyby przeto 12,000, a wojsko całe w ogóle 36,000; wiemy atoli, iż siły Polskie podczas wyprawy Wiedeńskiéj dochodziły ze wszystkiém do 50,000.*)

Ussarze byli najgłówniejszą częścią siły narodowéj. Uzbrojeniem ciężkiém i organizacyą swą najbardziéj zbliżali się do dawnéj francuzkiéj żandarmeryi i niemieckich kiryśników. Daleyrak opisuje Ussarzy jako najokazalszą i najpiękniejszą jazdę w całéj Europie, nie tylko dla wspaniałego przybrania, lecz oraz dla dzielnych i pysznych koni. Nazwa Ussarzy pochodzi z węgierskiego; wiadomo zaś, iż Polacy od czasu Władysława Warneńczyka, który obok Polskiego Węgierskie dzierżył berło, wiele mieli z Węgrami wspólnego w organizacyi wojsk. Szereg pierwszy tworzyła szlachta, *Towarzystwo,* każdy znowu towarzysz miewał po trzech lub czterech pocztowych za sobą jadących, *szeregowymi* zwanych. Towa-

---

*) Wedle Załuskiego wojska polskiego pod Wiedniem więcéj jak 20,000 nie było.

rzystwo ussarskie składało się tylko z majętniejszéj szlachty. Mianem *Towarzyszów*, to jest wspólników bojów, sławę i znoje wojenne z sobą dzielących, zaszczycali Ussarzy nietylko hetmani i inni w wojsku dostojni mężowie, lecz nawet i sam król, z którym podczas pokoju nie rzadko do jednego stołu zasiadali. Rynsztunek towarzystwa ussarskiego był pełen przepychu. Rumaki okazałe, złociste wędzidła i cugle, haftowane siodła, czapraki lśniące się od złota, srebra i drogich kamieni; bogato klejnotami wysadzone szable, dłuższe, lecz nie tak bardzo zakrzywione, jak tureckie; pistolety w olstrach misternéj roboty: wszystko to pełen powabu przedstawiało widok. Ciężką ussarze byli okryci zbroją; na ich barkach powiewały tygrysie lub lamparcie skóry, dzielnéj i wojennéj rycerstwu dodając postaci. Konie ussarskie wielką miewały wartość, niektórych cena dwieście czerwonych złotych przechodziła. Bronią ich główną była kopija 8½ łokci długa z chorągiewką dwubarwną; przy szybkim natarciu na wroga sprawiane chorągiewkami furkotanie nieprzyjacielskiéj jazdy konie płoszyło. Oprócz lanc mieli ostre młotki z długą rękojeścią sześć funtów ważące, któremi hełmy, oraz żelazne pętlice i spięcia zbroi rozbijali. U boku ich wisiała zakrzywiona szabla do cięcia i rąbania; pod lewém kolanem mieli pałasz przymocowany do siodła dla przebicia leżącego już na ziemi nieprzyjaciela. Connor, rodem Anglik, lekarz nadworny króla Jana III., powiada, iż ussarze od stóp do głów byli uzbrojeni, mając świetną przyłbicę z pioropuszem, stalowy pancerz, takież nagolenniki i naramienniki osłaniające rękę od ramion aż po łokieć i ciężką rękawicę. Lwie, tygrysie i lamparcie skóry spływają im z ramion. Każdy z nich liczy po trzech lub czterech służby (szeregowych), uzbrojonych w hełm i kopiją, lecz nie noszących pancerza. Szeregowi zamiast tygrysich zawieszali wilcze lub niedźwiedzie skóry, do ramion przyczepiali skrzydła orle, sępie, lub pióra czaple, co im straszliwą nadawało postać; szelest skrzydeł pomiędzy końmi nieprzyjacielskiemi ogromny popłoch spra-

wiał. Daleyrak mówi, iż Ussarz w ciężką przyodziany zbroję, dzierzący długą kopiję, mniéj był zwinny i szybkich zdolny zwrotów, lecz że natarczywość gwałtownego jego uderzenia wszelki przechodzi opis: ussarze łamali i rozbijali nie tylko jazdę, lecz także i najgłębsze czworoboki piechoty. Do pierwszego natarcia i łamania szyków nieprzyjacielskich można przeto było ussarzów z nadzwyczajną użyć korzyścią. Wspomina Daleyrak, iż za czasów Jana Kazimierza w bitwie pod Warszawą jedna z chorągwi ussarskich przebiwszy się przez pierwszą i drugą linię szwedzko-brandeburskiego wojska, aż do rezerwy dotarła, tam ze wszystkich stron otoczona, nie otrzymując żadnego od swoich wsparcia, mężnie do ostatniéj kropli krwi się broniąc, w pień została wyciętą. Jan III. umiał z ussarzów i ich natarczywości lepiéj korzystać. Po bokach chorągwi ussarskich stawiał chorągwie pancerne; skoro pierwsi uderzeniem swém zmięszali nieprzyjacielskie szyki, ostatni wpadając przez rozstępy złamanych szeregów, znosili je do szczętu.

Uzbrojeniem towarzyszów pancernych, — o których teraz z porządku mówić przychodzi, — był hełm kształtu wschodniego i misiurka, od któréj spuszczona siatka żelazna zakrywała część twarzy, kark, ramiona i plecy; bronią ich — szabla krzywa, rusznica i pistolety za pasem. Organizacją nie różnili się od ussarzów. Każdy z towarzyszów pancernych miał również po trzech lub czterech uzbrojonych służby, którzy tworzyli szeregi tylne, przez co chorągwie po cztery lub pięć szeregów miewały. Nie tylko w wojsku koronném lecz także i litewskiém, król, synowie królewscy, książęta, senatorowie i panowie radni przedniejsi miewali chorągwie ussarskich lub pancernych znaków, w których kwiat rycerstwa się mieścił.

Trzecim rodzajem narodowéj jazdy byli Litwini, Petyhorcami zwani. Nazwa ta, jak się zdaje, pochodzi od pokolenia mieszkającego w górach Kaukazkich, w krainie *Pięciu-Gór*, po grecku nazwanéj *Pentopolis*, po tatarsku *Besztan*, a po słowiańsku *Piatyhory*, od pokolenia, z którego wielu, w ostatnim napływie hord tatarskich na

Polskę za czasów Alexandra Jagiellończyka r. 1506. od rodzinnéj ziemi odciętych na Litwie osiadło. Ubiór oni ten sam mieli co towarzysze pancerni, z tą wszelako różnicą, iż proporców używali, które przecież były krótsze od kopii ussarskich. Daleyrak stawia ich w równi co do piękności i okazałości z ussarzami. Służyły im także też same przywileje, co towarzyszom pancernym.

Właściwą lekką jazdę wojska polskiego stanowili Kozacy, Wołosi i Tatarzy, z których ostatni na Litwie liczne mieli osady. Ich nieposzlakowana wierność i niezłomne męztwo, tylekrotnemi stwierdzona dowodami, w wyprawie wiedeńskiéj nowym zajaśniały blaskiem. Z nich powstały późniéj pułki ułańskie. *Ulan* w języku tatarskim ma podobne znaczenie, co wyraz ussarz w języku madziarskim. Inni wywodzą miano *ulana* od sławnego za czasów króla Stefana rotmistrza Ułanieckiego.

Do wojska cudzoziemskiego liczono piechotę, również dragonią i rajtarów; ostatni, uzbrojeni w muszkiet i prosty pałasz, po większéj części składali się z Niemców, zostających na żołdzie. W każdéj z tych broni służyło wielu Polaków, lecz przystęp był również otwarty Niemcom, Francuzom, Kurlandczykom, Liwończykom, Szkotom i Węgrom. W artyleryi najwięcéj znajdowało się Polaków. Artylerya podczas wyprawy wiedeńskiéj dobrze uorganizowana, powierzona dowództwu Marcina Kąckiego, który w poprzednich Sobieskiego wojnach nie małą już sobie zjednał był sławę, chlubnie i w téj sprawie się odznaczyła.

Żołnierza pieszego, według opisu Daleyraka, z powodu złéj organizacyi nader smutne było położenie. Wszakże chwali ten autor jego odwagę prawdziwie bohaterską, oraz wytrwałość nadzwyczajną, z jaką niedostatek wszelkiego rodzaju, zimno, głód i ból z zadanych ran cierpliwie znosić umiał. Piechota miała za opatrzenie rusznicę, szablę i siekierę.

Wojna rozpoczęła się r. 1683. wśród okoliczności jak najnieprzyjaźniejszych dla cesarza Leopolda. *) W Niemczech zadał był cios nader bolesny potędze jego pokój w Nimwedze r. 1679. zawarty, w Węgrzech zawieszenie broni po bitwie pod St. Gottard r. 1664. na 20 lat postanowione nie mniéj ją zachwiało. Ludwik XIV. wytaczając na nowo przeciw domowi austryackiemu wojnę, miał nadzieję, że monarchę słabego umysłu, którego jedynymi następcami dwaj chorowici synowie byli, tak dalece upokorzyć zdoła, iż koronę cesarską na poniżonych w Niemczech przeciwnikach łatwo mu wymódz przyjdzie; nadzieja ta tém bliższą i pewniejszą ziszczenia swego mogła się wydawać, że w samych nawet Niemczech powstało stronnictwo, które potędze wersalskiéj hołdując, za jedyny środek bezpieczeństwa uważało zlanie godności cesarskiéj na dom francuzki. Postać rzeczy w Węgrzech i stósunki umyślnie w Konstantynopolu zawiązane, sprzyjały przedsięwzięciu Ludwika. Nieukontentowanie w Węgrzech po zawarciu zawieszenia broni wielkim buntu wybuchło płomieniem. Powstanie pod przewodnictwem Rakocego, Wesseleniego, Zryniego i Frangipaniego podniesione raz z powodu upokarzającego traktatu, który większą część kraju i prawo zwierzchnictwa nad państwem Siedmiogrodzkiém, pomimo odniesionych przez Austryą korzyści, Turkom przyznawał, powtóre w skutku oburzenia z pogwałceń ustaw krajowych, z powodu w końcu prześladowań możnych protestantów przez Leopolda, na chwilę tylko przytłumionèm zostało. Zgon pierwszego, u-

*) W pracy naszéj mieliśmy jeszcze pod ręką następujące dzieła: Pamiętniki Daleyraka, o których już wyżéj wspomnieliśmy; Coyera i Salwandego historye Jana Sobieskiego; Listy Króla, pisane do Maryi Kazimiry; dzieło Lochnera: O udziale Saskiego i Polskiego wojska w odsieczy wiedeńskiéj; rozprawkę o wojnie téj, umieszczoną w IV. tomie Austryackiego Czasopisma dla Wojskowych; nakoniec Historyą Czynów Wojennych Ludwika, Margrabiego Badeńskiego, wydaną w r. 1839. przez Majora w służbie W. X. Badeńskiego, Roedera-Diersberga, dzieło, które się staranném i sumienném opracowaniem źródeł chlubnie odznacza.

karanie śmiercią ostatnich, rozdraźniły tylko umysły i nowy wybuch przyspieszyły. Na czele oburzonych stanęli hrabia Emeryk Tekeli, celujący pomiędzy najpierwszymi magnatami węgierskimi nietylko bogactwy, ale także nadzwyczajnemi zdolnościami, i Apafi, książe Siedmiogrodzki. Prowadzący intrygę dom francuzki, jako też silna partya w Konstantynopolu podżegana przez francuzkich agentów, chcących skłonić Portę do wypowiedzenia wojny Austryi, zawiązali przyjazne stósunki z buntującymi się Węgrami, i te wszystkie zamiary nabrały stanowczéj przewagi, kiedy naczelnik dywanu, Wielki Wezyr Kara Mustafa, posiadający całkowite zaufanie niedołężnego Mahometa IV. do nich przystąpił. Kara Mustafa czuł nieodzowną potrzebę już to usprawiedliwić przez świetne i wielkie czyny prędkie wyniesienie swoje z najniższych szczeblów na najwyższą godność, już to zaskarbić przychylność ludu dla sułtana, który był jedyną jego podporą, już to nareszcie zniewolić ku sobie potężnych jańczarów widokami bogatych łupów i świetnych zwycięztw; że oprócz tego widział stan opłakany państwa niemieckiego, uległ podszeptom francuzkim i zerwał aż do roku 1684. uchwalone zawieszenie broni, ciesząc się zawczasu myślą, iż po zniszczeniu austryackiéj potęgi, w pośród ludów Europy zatknie półksiężyce na miejsce krzyżów, zdobiących kopuły świątyń chrześciańskich.

Nagłe powstanie Tekielego i zdobycie przez niego Pesztu roku 1682. nakłoniło Portę do wcześniejszego aniżeli zamyślała potargania wszelkich stósunków i ugód z Austryą. Uznawszy Tekielego księciem węgierskim, ściągnęli Turcy pod Adrianopol, późniéj pod Belgrad tak liczne i z takim przepychem we wszystkie przybory wojenne zaopatrzone wojska, iż niebezpieczeństwo straszliwéj, rychłym wybuchem grożącéj burzy mocarstwa chrześciańskie wskroś przeraziło. Tymczasem właśnie ogrom niebezpieczeństwa stał się Leopoldowi zbawiennném. Państwa niemieckie nie mogły obojętném patrzeć okiem na cios wymierzony na cesarza i cesarstwo, a papież Innocenty XI. jął się z całą energią krzątać około zawarcia

przymierza między mocarzami, przeciw grożącéj sile tureckiéj; na jego wezwanie książęta katoliccy rzeszy niemieckiéj, jako też Polacy, zaczęli robić przygotowania, a samże Ludwik XIV. nie ważył się otwarcie przeciw zabiegom dworu papiezkiego wystąpić.

Oprócz zgodności z kierunkiem polityki rzeczypospolitéj polskiéj, która od czasu zdobycia Konstantynopola przez Turków, przedmurzem będąc Europy przeciw napadom wschodniéj dziczy, za zadanie sobie wzięła, powstrzymywać i upokarzać coraz bardziéj wzrastającą Islamu potęgę, oprócz pobudek czerpanych w charakterze narodowym i dążności ogólno narodowéj, którą razem z pokarmem z piersi matczynéj wyssał Sobieski, a które to uczucia w całym bohaterskim jego zawodzie wybitnie się okazują, oprócz wszelkich powodów z usposobienia narodowego wypływających były jeszcze i inne widoki mniejszéj wagi, które króla polskiego do przedsięwzięcia wyprawy skłoniły, Duma Ludwika XIV. nie wahającego się upokorzyć Maryi Kazimiry, domagającéj się na dworze francuzkim wszelkich przywilejów ukoronowanym głowom przynależnych i rozmaitych ku temu używającéj intryg, — dotknęła Sobieskiego z najboleśniejszéj strony. Marya Kazimira skierowała cały swój wpływ ku temu jedynie, aby przechylić ważącą się szalę na stronę Leopolda; namową i silnemi prośby wpływając ona na umysł królewski z wrodzonéj dzielności do podjęcia wielkich czynów skłonny, przywiodła go do zawarcia sojuszu z cesarzem przeciw tureckiemu mocarstwu.

Od czasu tego przymierza blask otaczający tron Ludwika XIV. coraz większym zachodzi cieniem; niepowodzenia dla niego zaczynają się właśnie wówczas, kiedy nienasycona ambicya jego, obliczywszy wszystkie podobieństwa, najbliższą być się zdawała osiągnienia zamierzonego celu. Zmowa przeciw domowi austryackiemu rozchwiała się pod Wiedniem; nie tu koniec, niebawem umarł Colbert, najzdolniejszy minister francuzki, i w tymże samym roku wszedł Ludwik w potajemne związki, które „dumę nienasyconą uosobionego w nim egoizmu“,

jak się nowsi wyrażają historycy, pod wpływ fatalny wdowy Scarron poddały. Odtąd poczęły się nieszczęścia i upokorzenia, które skołatanemu umysłowi wiekiem podeszłego króla dotkliwe zadając razy, zdały się być sprawiedliwym odwetem za tyle pychy, za taką zaciętość względem przeciwników.

Lecz przystąpmy do naszego przedmiotu. — Siły tureckie pod Adrianopolem zebrane, wynosiły 280,000 ludzi; artylerya liczyła 70 dział polowych i przeszło 100 dział oblężniczych. W przeglądzie wojsk, odbytych pod Belgradem, liczba ta z powodu niewygód pochodu i niewczasów obozowych okazała się o 20,000 zmniejszoną. Według spisu, znalezionego w namiocie Wielkiego Wezyra pod Wiedniem, wojsko tureckie liczyło na kilka dni przed bitwą już tylko 168,000. Przez cztery zatém miesiące zastępy tureckie o 100,000 osłabiły się.

Wojsko cesarskie miało ze wszystkiém 70,000 głów liczyć; lecz nie było w komplecie. Po odtrąceniu wojsk węgierskich, na których przychylności zbyt polegać nie było można, a które pod rozkazami rozmaitych dowódców,*) przez pułki niemieckie wspierane przy rzekach Waag, Raab i Muhr, oraz w Kroacyi, strzegąc granic przeciw oddziałom tureckim, kordon wojenny stanowiły, czynna armia, pod dowództwem Karóla xięcia Lotaryńskiego zostająca, liczyła na początku wyprawy tylko 32,000, z których 11,000 piechoty i 50 dział. Nadmienić wszelako wypada, iż w ciągu wojny nadchodziły ustawiczne posiłki, o których w swojém miejscu uczynimy wzmiankę.

Podczas zbierania się sił tureckich pod Belgradem, cesarz z swéj strony na dolinie Kiltsee pod Preszburgiem uczynił przegląd wojska. Wiadomość gabinetu Wiedeńskiego o czynnościach w Konstantynopolu i stanie armii nieprzyjacielskiéj nie musiały być bardzo dokładne, gdyż pomimo tak szczupłych stósunków sił, księciu Lotaryń-

---

*) Pomiędzy dowódzcami tymi odznaczył się jedynie przez czynność, śmiałość i przedsiębierczość jenerał Dünewald w Styryi dowodzący. —

skiemu wyraźny dano rozkaz, aby działał zaczepnie, co tém trudniejszą dlań było rzeczą, iż pole działań przez twierdze Neuhäusel i Gran, znajdujące się w ręku tureckim, zamknięte, zbyt ciasne miało granice. Dwór cesarski powielokrotne odbierał o przyborach tureckich szczegółowe uwiadomienia od Króla Polskiego, który, mając dobrych agentów w Konstantynopolu, o wszystkiém dokładnie bywał ostrzegany. Pomiędzy agentami tymi znajdowało się wielu wysokich urzędników tureckich, których król w czasie bohaterskiego swego zawodu, mając sposobność poznać, wspaniałością swą ująć sobie potrafił. Prawdopobną jest rzeczą, iż Han tatarski, Selim Gieraj do nich należał; ten podczas całéj wyprawy nadzwyczajną okazując opieszałość, ile razy szło o działanie zaczepne przeciw Polakom, Sobieskiego oszczędzać się zdawał. Do ostrzeżeń przez króla dworowi wiedeńskiemu udzielanych nie przywięzywano wszelako wielkiéj wagi, nawet robiono sobie względem prawdziwego położenia rzeczy jak najmylniejsze illuzye.

Książe Lotaryński widząc trudność, ba i niepodobieństwo wypełnienia danego sobie rozkazu, pozornie się tylko doń stósował. Dnia 2. Czerwa zrekognoskował twierdzę Granu, 8. tegoż mies. wykonał demonstracyą przeciw twierdzy Neuhäusel i przekonał się dowodnie, iż o wzięcie szturmem miejsc tych obronnych nie można się było kusić. Zbliżanie się armii tureckiéj, która z obozu pod Darda nad Essek dnia 15. Czerwca wzdłuż prawego brzegu Dunaju ku Raab się posuwała, skłoniło księcia Lotaryńskiego do cofnięcia się pod zasłonę twierdz Komorn i Raab, mając front ku rzekom Dunajowi i Raab zwrócony. W ostatnich dniach miesiąca wojska obadwa tylko jeszcze wspomnionemi rzekami od siebie przedzielone były. Trwoga, wyprzedzająca przybycie tłumów tureckich, uderzający widok niezwykłego wroga, ogrom przeważnych sił, wszystko to wstrząsało odwagę wojska cesarskiego. Książe Lotaryński spostrzegł niepodobieństwo dłuższego zostawania na miejscu i otrzymawszy wieść, iż silny oddział turecki przez rzekę Raab pod Körmend

na prawém jego skrzydle się przeprawił, ruszył niebawem dnia 1. Lipca w pochód wsteczny. Odwrót odbywał się dwiema kolumnami. Piechota poruczona hrabiemu Stahremberg ciągnęła wyspą Schütt przez Preszburg ku Wiedniowi; sam książe Lotaryński posuwał się z jazdą po prawym brzegu Dunaju wielkim traktem przez Altenburg, Kiltsee, Haimburg i t. d. Powodem rozdzielenia sił na dwie kolumny było zapewne przypuszczenie, iż Kara Mustafa od oblężenia twierdz Komorn i Raab działania swe rozpocznie, że przeto wojsko cesarskie dosyć jeszcze będzie miało czasu, aby według potrzeby stósowne rozporządzenia poczynić; Wielki Wezyr atoli, przeczuwając instynktowo korzyści z przewagi liczebnéj wojsk, zamaskował obiedwie warownie, i ruszył wprost na punkt główny, na Wiedeń: szczęściem tylko pochód ten tak opieszale odbywał, iż w siedmiu dniach zaledwie posunął się 19 mil najprzód. Książe Lotaryngii, popełniwszy nie mały błąd, rozrywając swoje siły na dwie kolumny Dunajem przedzielone, dopuścił się nowych pomyłek od 4 — 6. Lipca; zatrzymał się on pod Altenburgiem z konnicą i jął wysyłać podjazdy przeciw Turkom, którzy wszystkie napady zwycięzko odparli. W dalszym odwrocie, który znów dn. 7. rozpoczął, oddział jazdy tureckiéj na prawém skrzydle wojsk cesarskich harcujący, wpadł pomiędzy Haimburgiem a Petronillem na kolumnę w pochodzie i na bagaże, przez co największe zamieszanie powstało i tylko przytomności umysłu Ludwika księcia Badeńskiego jazda niemiecka winna, iż uniknęła haniebnéj ucieczki przed daleko mniejszym oddziałem nieprzyjaciół. Gdyby wielki Wezyr zdołał był ocenić ważność chwili i z całą energią zaczął ścigać przerażonego wroga, xiąże Lotaryński ciężkoby zapewne błąd rozdzielenia swych sił był przypłacił; ale Kara Mustafa pozostał w bezczynności i pozwolił wojsku cesarskiemu ochłonąć z pierwszego przestrachu, nawet odzyskać stracone już niemal zupełnie zaufanie w siebie. Książe Lotaryngii skorzystał z opieszałości wodza tureckiego i spokojnie zajął stanowisko z jazdą swą pod Wiedniem; prezes zaś rady wo-

jennéj, hetman margrabia Badeński, i wiceprezes hrabia Kapliers w dniach 9—13. Lipca, czyniąc wszelkie przygotowania do obrony stolicy, gdzie trwoga po odebranéj wieści o nieszczęśliwéj utarczce pod Petronill tak dalece opanowała umysły, iż cesarz nawet ujechał, wzniecili w załodze strwożonéj i w struchlałym mieszkańcu nową odwagę. Hrabia Stahremberg d. 12. Lipca z pierwszą kolumną piechoty pod mury Wiednia przybył, w dniu następnym reszta za nią pospieszyła, a sam Stahremberg otrzymał godność Kommendanta miasta. Dnia 14. Lipca przyciągnęło wojsko tureckie, za późno, żeby wzbronić wejścia do Wiednia piechocie, któréj 10,000 zaraz do miasta weszło; gdyby był wielki Wezyr odciął kolumnę Stahremberga, byłby ocalenie stolicy niepodobném uczynił. Książe Lotaryński zatrzymał się jeszcze dni kilka na swém stanowisku, nieliczną wzmocniony piechotą; ta rozstawiona przy moście Tabor, na błoniach Prateru i Leopoldstadzie kommunikacyą utrzymywała tak, aby w razie potrzeby oblężonych módz wesprzeć świeżemi posiłki. — Znaczne wzmocnienia, załogi, energia hrabiego Stahremberga i czynna przezorność jego podniosły tymczasem ducha strwożonych mieszkańców i do dzielnéj ich zapaliły obrony. Podkommendantem miasta został hrabia Kapliers; artyleryą oddano pułkownikowi Barner; na czele inżynieryi postawiono zaszczytnie znanego Rimplera, i od téj chwili poczęło się szczęście na stronę austryacką przechylać. Cała rzecz zależała na tém, aby tak manewrować szczupłemi siłami, iżby pochód wojsk posiłkowych zasłonić, tudzież aby zająć stanowisko, z któregoby po połączeniu się z wojskami spieszącemi ku odsieczy Wiednia, z łatwością można się ruszyć. Tu rozpoczyna się korrespondencya księcia Lotaryńskiego z Sobieskim, o któréj już wspomnieliśmy: rapporta hrab. Stahremberga i Kapliers, jako też dziennik operacyjny czynnéj armii uzupełniają obraz ówczesnego położenia rzeczy. W korrespondencyi dwóch wodzów okazuje się otwartość i szlachetność charakteru obydwóch; oba mają jedynie przed oczyma wielki i świetny cel zgniecenia

zawziętego wroga Chrześcian, obu ożywia tylko chęć zbawienia zagrożonego państwa; nad środkami prowadzącemi do zamierzonego celu zastanawiają się, zapominając wszelkich pobocznych względów, wszelkich widoków wyniesienia się osobistego. Prostota i niewymuszona skromność, z którą książe Lotaryński przedsięwzięcia swe, uwieńczone pomyślnym skutkiem opisuje, prawdziwe i szczere obudza dlań współczucie. W raportach Stahremberga przesyłanych z Wiednia okazuje się umysł dumny, wyniosły, wola nieugięta, i niezłomne męztwo, lecz zarazem twardy, w sobie zamknięty charakter; w ostatnim dopiero liście pisanym na końcu Sierpnia, zdaje się jakoby był widokiem bliskiego niebezpieczeństwa przerażony. W listach hr. Kapliers (w nim doradzcy Leopolda godnego swoich widoków mieli wykonawcę), przebija się cała jednostronność i brak szlachetnéj dążności polityki austryackiéj, do któréj zacny charakter księcia Lotaryńskiego nie umiał się zniżyć.

Książę Lotaryngii w nieprzerwanéj zostając korrespondencji z Sobieskim, przesłał mu na jego żądanie mappę strategiczną okolic wiedeńskich, w célu porozumienia się względem ułożenia planu operacyjnego. Zamiarem jego było przy Dunaju, jak tylko można najdłużéj się utrzymywać, głównie z powodu, żeby nadciągające wojska posiłkowe miały przejście przez rzekę przysposobione i ułatwione. Sobieski bardzo trafne w téj mierze czynił spostrzeżenia, wskazując, iż o przeprawieniu przez Dunaj na Marchfeldzie ani myśleć nie podobna, z powodu że Węgry w niewielkiém rozłożone oddaleniu, wojsku cesarskiemu zagrażałyby z boku; daléj że Turcy na równinach zbyt korzystne, a w przeważnéj sile zajmując stanowiska, mogliby wojsku chrześciańskiemu znaczne wyrządzić szkody; nakoniec że gdyby się nawet szczęśliwie rzekę przebyć udało, wąwozy Tischa i Schwächat nieprzyjacielowi zbyt obronne dawały stanowiska. Uradzono, ażeby przebycie Dunaju uskutecznić wyżéj Wiednia, gdzie tak zwany las wiedeński (Wienerwald) naturalny szaniec przedmostowy tworząc, dobre

pole bitwy dla piechoty niemieckiéj, aż do obozu tureckiego rozciągające się przedstawiał; przed lasem wiedeńskim otwierało się także i dla jazdy, a mianowicie Polskiéj, do stanowczych obrotów sposobne miejsce. Nie tylko więc na utrzymaniu się przy Dunaju, ale również na têm, ażeby lasu wspomnionego nie dać zająć nieprzyjacielowi, wiele zależało.

Książe Lotaryński postanowił Marchfeld tymczasowo w obrębie swego działania utrzymać, a mając przedewszystkiém na oku, żeby Turkom niepozwolić rzucić mostu na Dunaju, rozłożył się obozem przy Tedlersee pod Bisambergiem.

Wojskom Styryjskim pod Jenerałem Dünewaldem, rozkazał on zbliżyć się nieco ku Wiedniowi. Dünewald posunął się z piechotą w głąb gór, a uzbroiwszy górali urządził przeciw Turkom wojnę ludową; siły tureckie, z lekkiéj powiekszéj części składające się jazdy, ogromne tu poniosły straty. Z jazdą swą Dünewald wypadał kilkokrotnie na równiny węgierskie i prowadził właściwie przeciw oddziałom tureckim wojnę partyzancką, trapiąc nieprzyjaciela ustawicznemi a niespodzianemi napady.

Posiłki z Tyrolu i Czech nadesłane, jako też 4000 Polaków znaków pancernych, kosztem skarbu cesarskiego uorganizowanych i na żołd cesarski zaciągniętych, którym książe Lubomirski, Marszałek Koronny, za pozwoleniem królewkiém przywodził, złączyło się z wojskiem cesarskiém pod Tedlersee. Przybycie jazdy polskiéj składającéj się powiększéj części z wojowników doświadczonych w boju z Turkami, pełnéj wiary w własne męztwo, a zaufania w dowódzcy swego dzielność, nie wahającéj się nigdy i na kilkakroć liczniejszego nieprzyjaciela uderzyć, ożywiło odwagę jazdy cesarskiéj, nie mającéj ochoty po tylokrotnych porażkach do nowych z Turkami utarczek. — Książe Lotaryński ze stanowiska swego bacznêm poglądał okiem na ruchy nieprzyjacielskie; wszakże Turcy w zaufaniu w niezwyciężone, jak im się zdawało, swe siły, poprzestali na opasaniu Wiednia, a gotując się, z naddzwyczajną opieszałością do oblężenia,

nic ważnego nie przedsiębrali. Las Wiedeński zostawili oni w ręku uzbrojonych górali i pojedyńczemi tylko oddziałami wałęsali się w otwartém polu; pokilkakrotnie kusili się rzucić mosty; lecz zawsze ogniem artyleryi cesarskiéj dzielnie odparci, porzucili zamiar przebycia Dunaju w pobliżu Wiednia, postanowili natomiast pod Preszburgiem przeprawić się przez rzekę. Aby przedsięwzięcie swoje tém pewniéj uskutecznić, wzmocnili oddziałem Baszy Widdyńskiego wojsko Tekelego, do którego po przebyciu rzeki Waag większa część wojska węgierskiego w służbie cesarskiéj zostającego przeszła była. Należy jeszcze wspomnieć, że zamek w Preszburgu miał tylko słabą załogę niemiecką.

Książe Lotaryński z najwyższą troskliwością przypatrywał się gotującéj się z téj strony burzy, która, gdyby zawisnęła nad Morawią, pochodowi wojsk polskich przeszkodzićby mogła, i wysłał oddziały w celu wzmocnienia załogi Preszburskiéj, ale gdy wszystkie z jak największą stratą Turcy odparli, Ludwik Margrabia Badeński widząc, iż pojedyńczemi próbami niczego się nie dokaże, i że się tylko zmarnują siły na próżnych wysileniach cząstkowych, skłonił go do wyruszenia z całém wojskiem ku Preszburgowi. Takaż armija szybkim krokiem posunęła się aż do Marcheck; zkąd w nocy z dnia 28. na 29. Lipca na powtórne przedstawienie Margrabiego Ludwika, iż koniecznie skupionemi siłami trzeba działać, przybyła pod Preszburg. O samym świcie na czele dragonii wpadł Ludwik Badeński do zamku i wojsko węgierskie stojące w mieście wyparł. Za nim książe Lotaryński wszedł w mury Preszburga, a spostrzegłszy tureckie i węgierski wojska po za miastem z drugiéj strony w jak najgorszym szyku bojowym rozstawione, postanowił natychmiast na nie uderzyć. Książe Lubomirski z pancernymi rzucił się pierwszy w sam środek nieprzyjacielskiéj linii; i ta dzielności Polaków nie zdołała dotrzymać kroku, zmięszała się i złamała. Jazda cesarska mając drogę utorowaną przez chorągwie pancerne, pospieszyła za niemi, ale nie mogła przyjść do strzału. Nieprzyjaciele widząc

ze wszech stron spieszące do attaku oddziały, pierzchnęli, zostawiając i bogatą zdobycz i licznych jeńców zwycięzcom; zaledwo pod murami Neuhäuselu i Komoru ochłonęli z przestrachu. Książe Lotaryński wstrzymał swe roty od pogoni nieużytecznéj za rozproszonym wrogiem, zniszczył wszelkie przygotowania do wystawienia mostu poczynione i powrócił na dawne stanowisko pod Bisambergiem. Turcy po porażce w bezczynności pozostali; Tekeli tylko chcąc powetować poniesioną stratę, postanowił wpaść do Morawii. Zamiar jego spełzł na niczém; albowiem książe Lotaryński marszem flankowym wykonanym przez Marchiją zagrodziwszy mu drogę, zmusił do spiesznego cofnięcia się po za rzekę Waag. Po bitwie Preszburskiéj przez trzy następne tygodnie na lewym brzegu Dunaju armije nic nie przedsiębrały ważnego; Turcy tymczasem z jak największą uporczywością i gwałtownością do Wiednia szturmowali. Z każdym nieomal dniem natarczywiéj miasto atakowali, ze wszech stron podkopywali się, w wielu miejscach minami rozrywali wały, tu i owdzie w murach już nawet porobili byli wyłomy: szczęściem artylleryi nie umieli jak się należy użyć, inaczéj niewatpliwą jest rzeczą, że przy ogromnéj liczbie ciężkich swych dział oblężniczych pomimo odwagi i wysileń ze strony oblężonych, pomimo wyższości intellektualnéj jako też moralnéj wojsk chrześciańskich, byliby Wiedeń wzięli nieochybnie. Z listu Stahremberga, który książe Lotaryński d. 15. Sierpnia Sobieskiemu przesłał, błagając, aby pochód wojska polskiego, o ile tyko może, przyspieszał, jak najjaśniéj okazuje się niebezpieczeństwo położenia oblężonych. Na domiar zaczęło wojsko i mieszkańcy na dyssenterją chorować; sam nawet Stahremberg powalony chorobą na łoże widział się zmuszonym oddać w ręce Kapliera naczelne dowództwo miasta; pierwéj jeszcze ponieśli Austryacy nieodżałowaną stratę w osobie Rimplera, który poległ śmiercią walecznych. W nim Stahremberg stracił był najdzielniejszą podporę.

Książe Lotaryński opuściwszy stanowisko pod Jedlersee, ruszył ku Korn-Neuburgowi, a to w celu zbliżenia się do punktu na przeciw Tuln, gdzie most na Dunaju rzucić miano, jako téż, ażeby z wojskami posiłkującemi, a szczególniéj z Sobieskim, który mu przyrzekł, iż skoro 25,000 zbierze, nie omieszka natychmiast wyruszyć w pochód, połączenie tém łatwiéj módz uskutecznić. Turcy widząc, iż książe Lotaryngii opuścił Jedlersee, ocknęli się z długiego letargu. Tekeli posunął się ku Morawii, a Basza Wardejński przeprawił się z swym oddziałem przy Bisambergu przez Dunaj w celu naprawy mostu Tabor. Książe Lotaryński spodziewał się tego od dawna i przygotował bolesny cios dla wroga. Uwiadomiony d. 24. Sierpnia o przejściu Turków przez Dunaj, wpadł na nich z połączonemi siły, a nie dając czasu do zajęcia pozycyi, ani rozwinięcia szyków, zmusił do prędkiego cofnięcia się za rzekę. Właśnie w dniu tego zwycięztwa wkroczył Sobieski w granice Szląska pod Gleiwitz; a znajdując żywność i wszelkie dla ludzi i koni przysposobione zapasy, ciągnął dalej spiesznie traktem przez Opawę, Ołomuniec i Brün. W pochodzie swym odebrał przez gońca cesarskiego Hr. Caraffę list od Leopolda; w nim go na wszystko, co mu najświętszém, zaklinał ten monarcha, aby bezzwłocznie choć sam przybywał, gdyż jak się wyrażał, wieść, że Król Polski, pogromca tureckiéj potęgi, stoi na czele wojsk cesarskich, dostateczną miastu uciśnionemu będzie odsieczą. Książe Lotaryński z swéj strony, przyłączając list Stahremberga, wielkość grożącego niebezpieczeństwa żywo malujący, błagał Sobieskiego, aby przybycia swego, w którém jedyną pokładał nadzieję zbawienia, nie ociągał; donosił mu razem, że Turcy w kilku już miejscach przez podkopy i miny wyłomy w twierdzy poczynili i że siły załogi tak są wycieńczone, iż ocalenie miasta zależy tylko od rychłego przybycia dzielnéj odsieczy. Uwiadomił go także, iż wojsko tureckie, które na 150,000 rachować można, bez wszelkiego jest rozłożone porządku i że nawet żadnemi kontrwalacyami stanowiska swego nie wzmocniło.

Sobieski otrzymawszy pod Brünn list xięcia Lotaryńskiego, z dwoma tysiącami dobranéj lekkiéj jazdy pod Sieniawskim Hetmanem Polnym Koronnym, Wojewodą Wołyńskim, wypędził całe swe wojsko, dowództwo xięciu Jabłonowskiemu Hetmanowi Wielkiemu Koronnemu, Wojewodzie Ruskiemu, nad niém powierzywszy. Pomaszerował drogą idącą przez Niekielsburg i Hollabrun, gdzie d. 29. Sierpnia xiąże Lotaryński nielicznym otoczony orszakiem naprzeciw przybywającemu Królowi pośpieszywszy, powitał go jako przyszłego zbawcę uciśnionéj i upadającéj już stolicy. Obadwaj bohaterowie powziąwszy już z korrespondencyi prowadzonéj od dawna zobopólny ku sobie szacunek, przejęli się przy pierwszém zaraz widzeniu wzajemném zaufaniem. zobopólną przychylnością, uczuciami, które nigdy nie ostygły w ich sercach.*) Nazajutrz wyruszył Sobieski do Stedeldorfu, naprzeciw Tuln leżącego, dokąd wojsko cesarskie z Korn-Neuburga spieszyło, i gdzie 2000 piechoty austryackiéj około postawienia dwóch mostów pracowało. Szańczyk przedmostowy pierwszego mostu sypano właśnie, za szaniec mostu

---

*) Wrażenie, jakie xiąże Lotaryński sprawił na Królu, widzimy w liście Sobieskiego do żony; pisze on: Le prince a la taille du Prince Radziwił, Maréchal de Lithuanie, les traits du visage de Chełmacki, à peuprès le même age que lui, le nez très aquilin et presqu' en perroquet. Il est fortement marqué de la petite vérole et encore plus vouté que l' Epine. Habit gris sans ornement, si ce n' est de boutons en passementerie assez neuf, chapeau sans plumes, bottes jaunes ou plutôt qui l'ont été il y a trois mois, un cheval de combat passable, mais la bride et tout le harnais communs et usés ainsi que la selle. Avec tout cela il n' a pas la mine d' un marchand, mais d' un homme comme il faut, et même d'un homme de distinction. Il parle très bien de tout ce qui est de son ressort, d' ailleurs, il est peu causeur et parait très modeste. C' est à proprement parler un galant homme, qui entend la guerre parfaitement et s' y applique sans relâche. Il porte une perruque blonde des plus mal faites, en général il est peu soucieux de sa mise, mais c' est un homme, avec le quel je m' accorderai très facilement et qui est digne d' un sort plus haut."

Że xiąże Lotaryński z swéj także strony prawdziwym szacunkiem i uczuciem przywiązania szczerego przejął się ku Sobieskiemu, o tem w dalszym opisie będziemy mieli kilka razy sposobność przekonać się.

drugiego miało służyć miasteczko Tuln. Król bynajmniéj nie pokazał się z rozporządzeń i samychże robót zadowolniony; ganił jak najmocniéj słaby profil jako też małe rozmiary szańca przedmostowego, ganił oraz, iż Tuln, miejsce mało obronne, za szaniec mostu drugiego obrano; najbardziéj jednak powstawał na to, iż mosty nie były jeszcze wykończone. — Co się tycze ostatniego zarzutu, xiąże Lotaryński przywodził ku swemu uniewinnieniu, iż czyniąc wcześniéj przybory do wybudowania mostów, byłby od dawna zwrócił Turków uwagę na zamiar przeprawienia się przez Dunaj, co przecież jak najdłużéj należało ukrywać.

Przez dni następujące ściągały ze wszystkich stron posiłkowe wojska; pomiędzy niemi odznaczało się najbardziéj wojenną postacią wojsko Polskie, szczególniéj widok wspaniały dzielnéj jazdy, która z przepychem uzbrojona, pomimo niewczasów długiego marszu, w najświetniejszym przybyła porządku, uczynił na wojsku cesarskiém jak największe wrażenie Elektorowie Saski i Bawarski, xiąże Waldeck, wódz naczelny wojsk rzeszy Niemieckiéj, powiększéj części z Würtembergczyków i Franków składających się, wyprzedzając hufce swoje mające nazajutrz wyciągnąć, pospieszyli do Króla dnia 2. Września z winném uszanowaniem. Sobieski z wojska niemieckiego jako też i cesarskiego wcale był zadowolniony; w jednym z listów swoich wyraża się: „Ces troupes sont très belles, bien habillées, bien au complet et bien disciplinées. On peut dire des Allemands ce qu' on a dit du Cheval, ils ignorent eux mêmes leurs forces.“

Po przeglądzie wojsk, zwołano pierwszą Radę wojenną. Już dała się spostrzedz wewnętrznie ukrywana niechęć anstryackiéj polityki przeciwko zbawcy swemu i zazdrość wielkości jego. Sobieskiemu chciano powierzyć dowództwo nad tylną strażą mającą nad Dunajem pozostać, przywodząc za powód, iż nie można drogich dni bohatera na najpierwsze, a przeto i najgroźniejsze niebezpieczeństwa narażać, a nadto, iż w razie klęski wieść, że Król Polski na czele wojsk świeżych stoi jeszcze w odwodzie,

stałaby się dostatecznym hamulcem dla dziczy tureckiéj. Sobieski błahego rozumowania tego odgadłszy właściwą przyczynę, odrzucił z oburzeniem wszelkie przedstawienia, mówiąc: iż nie dla tego z doborem rycerstwa przybył, aby na pośmiewisko narodów się wystawiać i że jemu według wszelkich przyrzeczeń naczelne przynależy się dowództwo; dodał, że jeźli się nie chcą poddać pod jego rozkazy, do ojczyzny natychmiast powróci.*) Xiąże Lotaryński pełen szczeréj przychylności i szacunku ku Sobieskiemu, z całą siłą odezwał się za oddaniem najwyższego dowództwa nad połączonemi wojskami chrześciańskiemi Królowi Polskiemu. Niebawem wszyscy się na to zgodzili i od téj chwili xiążęta i dowódzcy zaczęli się wyprzedzać w pełnieniu pilném rozkazów królewskich i w gorliwém dla niego posłuszeństwie.

W radzie wojennéj wniesiono następnie pytanie: jaka droga najpewniéj do zadania stanowczego ciosu nieprzyjacielowi doprowadzi? Najwięcéj głosów było za tém, ażeby posuwano się wzdłuż Dunaju, a potém traktami daleko wygodniejszemi, aniżeli trakt najbliższy, ku odsieczy Wiednia pospieszyć. Sobieski przyznając całą wagę powyższego mniemania, utrzymywał wszelako, iż w okolicznościach obecnych drogę najbliższą obrać należy. Na usprawiedliwienie zdania swego przywodził następujące powody: po pierwsze, iż Wiedeń tak jest zagrożony i siły oblężonych tak wyczerpnięte, że i najmniejsza zwłoka może się stać zgubą stolicy; powtóre, iż niepodobna się od Dunaju będącego jedyną linią kommunikacyjną zbyt daleko odsuwać; po trzecie, iż pole bitwy okok Dunaju, przez naturalne już swe położenie dla piechoty nader korzystne, i tę jeszcze korzyść przedstawia, że rzeka naturalną będzie lewego skrzydła zasłoną; a nareszcie,

*) W jednym z listów Sobieskiego czytamy: „Panowie Niemcy myśleli zapewne, iż i we mnie także ujrzą ciemięgę, lecz otworzyłem im oczy.“ Wyrazy te stósował, jak się zdaje, do Leopolda, którego Wolter dowcipnie wyśmiewa, mówiąc: Tout l' Empire y étail, il n' y manquait que l' Empereur.

iż wypada rachować na niebaczność, oraz na nieświadomość zupełną sztuki wojennéj Kary Mustafy, który gór pomiędzy Dunajem a obozem swym leżących nie zająwszy, jako też pozwalając o pięć mil od stanowiska tureckiego mosty budować, zaślepienia lub opieszałości dał dowód oczywisty.

Rada Sobieskiego została jednogłośnie przyjętą.

Dnia 3. Września przeprawiło się przez Dunaj wojsko polskie, a w dniach następnych pospieszyły za niém wojska niemieckie. Król, chcąc powziąść bliższe wiadomości o stanowisku przez nieprzyjacielskie wojska zajętém, zapytał się, jakie wieści na rekonesans w ostatnich dniach wysyłane oddziały przynosiły? Na to odebrał zdumiewającą odpowiedź, że, skoro wszelkie podjazdy nie osiągały zamierzonego celu, i albo zupełnie znoszone bywały, albo jak największe ucierpiały straty, postanowiono nienaruszać ludzi i już więcéj nie wysélać żadnych na podsłuch oddziałów. Przytoczymy wyrazy Diakowskiego, opisującego z całą żywością rozmowę króla i jéj następstwa. „Odpowiada generalissimus: „Posłaliśmy jednego „generała z trzema tysiącami dragonii kommenderowanego „na podjazd, niewrócił się tylko kapral z kilku żołnierza„mi, salwującemi się ucieczką, a drudzy wszyscy zgi„nęli, spotkawszy się z pięciuset tylko Turków, do któ„rych i wystrzelić naszym nie przyszło.“ — W tym pun„kcie obróciwszy się Król, spojrzał po Polakach, uważa„jąc, kto mu jest przytomny, i postrzegłszy niejakich dwóch „Romana Ruszczyca i Damiana Szumlańskiego, lekkiéj cho„rągwii rotmistrzów, zawołał ich do siebie, mówiąc te „słowa do nich: „Weźcie Wać sobie, każdy z osobna, po „sto koni dobrych z przedniéj straży, bo pójdziecie na „podjazd.“ A potém Król, obróciwszy się do Hetmana „Wielkiego, mówi: — „Każ im Waćpan dać ordynans i „surowo przykazać, ażeby się języka starali, albo, jeżeli „nie dostaną języka, niechże zaraz w ciele swojém przy„wożą, a niechaj się wracają we 24 godzinach, wszak „to tylko 10 mil od Wiednia, to na dobrych koniach mo-

„gą się obrócić, bo ta rzecz odwłoki nie cierpi.“ — Zno-„wu Król do tychże rotmistrzów rzecze: — „Przyjedźcie „tu wprzód z tymi ludźmi przed namiot, żebym ich wi-„dział.“ — Tak tedy zebrali ludzi, przyjechali z nimi pod „namiot królewski, w którym jeszcze generalissimus i ele-„ktorowie byli, ci zobaczywszy rotmistrzów z tymi ludź-„mi, poczęli sobie szeptać i mówić: „Na zgubę ten Król „tę garstkę ludzi poséła pod tak wielkie wojska.“— Inni „mówią: — „Nasz podjazd we trzy tysiące poszedł, a nie „wrócił się.“ — Trzeci mówią: „Żal się Boże tych ludzi, „a najbardziéj tych kommendantów,“ (że byli urodziwi, „dla tego ich żałowali). — Aż to mało co nad 24 „godzin przeciągnęło się, dają znać do obozu, iż podja-„zdy wracają z językiem; zaraz się to rozgłosiło i do-„szło do niemieckiego wojska, z ktorego elektorowie i ge-„nerali przyjechali na dziwowisko, widzieć Turków, któ-„rych 13 jak baranów przyprowadził Ruszczyc, niestraci-„wszy żadnego swego człeka......... Dziwna to rzecz „była Niemcom bardzo, ponieważ im się nie trafiło, jako „sami powiadali, ani razu 10 Turków razem przyprowa-„dzić, koło których, na co *hisce oculis* patrzałem się, cho-„dzili rękę zakładając, a dziwili się, co to za Polacy!“

Jakkolwiek może tu być nieco przesady, mamy w tych wyrazach dowód na poparcie prawdy dawnego wojskowego przysłowia: „na podjazd nie bierz armaty,“ przysłowia, przeciw któremu niedoświadczenie spraw wojennych ze szkodą własną tak często wykracza. — Od jeńców, jako też od pojmanego tureckiego szpiega, rodem Wołoszyna, — któremu wielki Wezyr na to do obozu polskiego przekraść się rozkazał, aby się własnemi przekonał oczyma, ażali prawdziwą jest wieść, iż Król Polski w swojéj własnéj osobie ku odsieczy Wiednia pospiesza, co mu się zaś zupełnie niepodobną zdawało rzeczą: — dowiedziano się o nieostrożności nadzwyczajnéj Kary Mustafy, który, dufając w ogrom swych sił, wczesną już cieszył się nadzieją, że wojsko chrześciańskie zniszczy ze szczętem.

Po przeprawie całego wojska przez Dunaj, wydano dalsze rozporządzenie do pochodu i szyku bojowego. Postanowiono, aby połączonemi siły ruszyć aż do Koenigstetten, a ztąd dwiema kolumnami ku Kloster Neuburgowi maszerować. Kolumna po lewéj stronie, składająca się z wojsk niemieckich, miała iść przez Höflein po nad brzegiem Dunaju po błoniach równych i otwartych; kolumna zaś po prawéj stronie, którą wojsko polskie stanowiło, przez St. Andrae, wzdłuż Hagenthal przez Kirling i Weidling. W linię bojową miano się na dolinie Weidlingskiéj uszykować i w tym szyku tak się posuwać, aby w trzecim dniu marszu przy przebywaniu ostatniego pasma gór przed Wiedniem się ciągnących, lewe skrzydło przez Leopoldsberg, prawe przez Herrmanskegel przechodziło. Wojsko cesarskie i saskie tworzące lewe skrzydło linii bojowéj dowództwu Księcia Lotaryńskiego powierzone zostało; środkowi składającemu się z wojsk Rzeszy niemieckiéj i Bawarczyków przewodził xiąże Waldeck, prawe zaś skrzydło, które wojska Polskie tworzyły, prowadził xiąże Jabłonowski, Hetman Wielki Koronny; przy mostach miała stanąć rezerwa z wojsk wszystkich narodów. Do wystąpienia na linią bojową liczono 20,000 Polaków, 20,000 cesarskich, 11,000 Sasów, 10,000 Bawarczyków i 9000 wojsk Rzeszy niemieckiéj: w ogóle 70,000. Część główniejszą wojska Polskiego składała jazda, wojska zaś niemieckiego piechota wynosząca przeszło $\frac{2}{3}$ całych sił. Dział było ze wszystkiém 168, z których Polacy mieli tylko 28 armat od cztero- do dwónastofuntówek; artylerya ta ich atoli była dobrze wyćwiczona, nadzwyczaj lekka i bardzo do szybkich sposobna ruchów; przewodził jéj Marcin Kącki, Kasztelan Lwowski, jeden z najdzielniejszych wojowników Polskich, który zdolności swych wojennych w poprzednich z Turkami wojnach nie małe już był dał dowody. Wojsko cesarskie musiało większą część swych armat dla zbytniéj ciężkości w dolinie Wejdlingskiéj zostawić, podczas gdy Polacy wszystkie swe działa powiedli do boju. Sobieski szczególną przywięzywał

wagę do tego, aby artylerya ruchy swoje równo z inną bronią wykonywać była zdolną. *)

*) O staranności, z jaką się w Polsce zajmowano artyleryą, świadczy dzieło Kazimierza Siemienowicza z roku 1650. Artylerya w Polsce była w ogóle bardzo cenioną; młodzieńcy z najpierwszych familii wchodzili do téj broni.

(Dokończenie późniéj).

Rozbiór dzieł nowych.

I.

Spekulant. Powieść przez Józefa Korzeniowskiego. Wilno. 1846.

Nowoczesna literatura polska zdaje się zmieniać w miarę stosunków zewnętrznych coraz siedliska swoje: różne przechodząc kierunki, wędruje po częściach kraju, tak iż raz ta, drugi raz owa prowincya hegemonią literacką prowadzi. Litwa jest ojczyzną największego z poetów naszych; w Litwie też pierwszy wzrost naszéj poezyi i pierwsza jéj świetność weszła. Razem z upadkiem akademii wileńskiéj dzieje literackie ztamtąd stolicę swoję przeniosły do Warszawy; — następnie w Paryżu gościnny znalazły przytułek; zkąd wracając do kraju, zdawało się, że osiędą w Poznaniu, aby miasta tego nie opuścić, i krzewić się w niém, jako w miejscu naukom i w ogóle pracom umysłowym najdogodniejszém. Był czas niedawno, gdzie z Poznania, jak z ogniska centralnego, rozchodziły się promienie umysłowéj dojrzałości na inne ziemi naszéj strony, i gdzie miasto nasze małemi Atenami ktoś nazwał; tymczasem kierunek umysłowy i u nas zaczął upadać, być może dla przyczyn niecofniętych, a może też i dla dziwnéj obojętności ogółu publiczności naszéj, obojętności na wszystko, co się stałą, szczerą a poważną pracą umysłową nazywa. Od dawien dawna przywarę tę Wielkopolsce zarzucano. Tak tedy na nowo obrócić oczy wy-

pada na strony ziemi naszéj względem nas wschodnie; bo cała prawie literatura w chwili obecnéj ogranicza się na publikacyach wileńskich.

Z pomiędzy dość licznych dzieł, które tam w przeszłym roku wyszły, najprzód powieść Korzeniowskiego ocenić zamierzamy z téj przyczyny, że jak on sam nad innymi tamtejszymi pisarzami talentem celuje, tak i to dzieło jego zaleca się wartością prawdziwą w większéj daleko mierze, niż inne prace równocześnie ogłoszone. Skromna jest wyobraźnia poetyczna Korzeniowskiego, nie tworzy światow oświeconych blaskiem, jaki z twórczych i pierwszego rzędu geniuszów pełnym strumieniem się leje; ma za to jednakże zalety inne, dla których niektóre z prac jego policzyć należy do faktów literatury naszéj większych, których ważność i wartość nie mija i przetrwa czas dłuższy. Za pierwszą z tych zalet poczytuję tę głęboką rozmyślność, tę w najdrobniejszych szczegółach utrzymaną i przez całe dzieło przeprowadzoną symetryą, nakoniec pewność i świadomość artystyczną, z jaką każdy pociąg i zarys czy charakteru, czy sytuacyi w dziełach autora tego jest zakreślony. Umieć sobie zdać sprawę z każdego obrotu w krzyżujących się w wyobraźni pomysłach, jest to podobno najcelniejsza tajemnica pisarza i każdego artysty. Jeżeli co, to ta zaleta zdobi lepsze utwory Korzeniowskiego, a do tych *Spekulanta* liczę. — Mało jest dzieł — nie powiem w literaturze naszéj, ale w literaturze europejskiéj — gdzie podobna świadomość i zgłębienie głównego celu dzieła chodzi w parze ze świetnością wyobraźni poetycznéj, i tą bogatą twórczością, która przy każdym zwrocie tryska promiennemi, uderzającemi pomysłami, jakby gradem brylantów. Szekspir, Goete, autor Irydiona, obiedwie te wymagalności w utworach swoich potrafili połączyć, ale jak powiadami, nie wiele podobnych imion w literaturze europejskiéj! Jeśli więc w utworach Korzeniowskiego nie ma tyle inwencyi i takich kolosalnych kreacyi, jak u tamtych: uznajmy przynajmniéj w nim to głębokie znawstwo sztuki, które mu zastępuje i poniekąd wynagradza brak czaru-

jącéj fantazyi, wydobywającéj wszędzie nowe światy i nowe twory za uderzeniem magicznéj laski. Zbywało na niéj i Lessyngowi, przecież go Niemcy do pierwszych nietylko pisarzów, ale i poetów swoich liczą, właśnie dla tych zalet, które my w Korzeniowskim upatrujemy. — Nie możemy tu pominąć jednéj jeszcze własności, którą się odznacza *Spekulant* z pomiędzy tak licznéj dziś liczby powieści i romansów. Jeżeli cenimy w pracach umysłowych poważnych, naukowych, gruntowność; jeżeli dajemy pierwszeństwo takim, które się opierają na znajomości źródeł i tego wszystkiego, z czego się czerpie treść naukowego wywodu, a mniéj cenimy rzuty, czasem może szczęśliwe, ale na niczém inném nieoparte, jak na swobodném rozumowaniu: podobnie sądzić powinniśmy i o romansach, mianowicie zaś romansach obyczajowych. Myli się, kto mniema, że niczego więcéj nie potrzeba powieściopisarzowi, jak szparkich skrzydeł wyobraźni, na którychby polegając, bujał po nieograniczoném przestworzu idealnego świata; owszem, i przed pisarzem powieści leżeć powinna księga, w którą często wglądać mu trzeba, jeśli nie chce, aby mu zabrakło zasobu tworzenia, kierunku w polocie. Księga to najobfitsza ze wszystkich w treść i rozmaitość, bo *księga życia!* Nie będę się tu rozwodził, o ile wolno, i o ile należy poecie, tymbardziéj zaś powieściopisarzowi, do téj księgi rzeczywistego życia zaglądać; bo by mnie to zawiodło do zawiłéj a szerokiéj kwestyi, czy sztuka jest naśladowaniem natury. Powiem tylko, że jak kopiować na ślepo naturę i życie rzeczywiste nie byłoby żadném *tworzeniem*, a tém mniéj poetyczném: tak z drugiéj strony rojenie i opowiadanie rzeczy wymarzonych, dalekich interessom i sprawom rzeczywistego świata, jest zabawką, godną stanąć obok przepowiastek o rozbójnikach i zaczarowanych zamkach, a które zająć mogą schorzały i zdziecinniały tylko umysł. Prawda, że niektórzy za tworzywami takiemi gonią; prawda, że mało jest takich między nami, którychby nie zachwycał *Monte Christo* Dumasa, utwór więcéj podobny do historyjki o Rynaldo-Rynaldinim, niż do 15to

tomowéj powieści, do czego rości pretensyą: — jednak prawda pozostanie prawdą, a owo smakowanie w takich szczególnych dziwacznościach niczego innego nie dowodzi, jak zepsutego smaku; więcéj powiem, dowodzi braku wszelkiéj tkliwości uczuć, dla któréj tylko książki z serca pisane są pożądanym pokarmem. Korzeniowskiego powieść nosi na sobie cechę wielkiéj *prawdy*. Każdy z charakterów w nię wprowadzonych, nietylko pod estetycznym ale i pod właściwym względem jest figurą żywą i rzeczywistą, tak dalece, że każda miejscowość i okolica posiada ludzi do nich tak podobnych, że zdaje się, jakby autor według nich postaci swojéj powieści był scharakteryzował. Są to więc żywe typy z społeczności naszéj wyjęte, oświecone i ożywione kolorami wyobraźni, nie dla próżnéj zabawki, ale aby społeczeństwo w nich się przejrzało i obaczyło, z jakich pierwiastków i żywiołów się składa. Takie tylko powieści nazywać się mogą obyczajowe, bo malują obyczaje, i zrosłe są z rzeczywistém życiem ludzkiém zaraz od momentu artystycznéj koncepcyi. —

Przychodzi mi tu na myśl, co Mickiewicz powiedział przy sposobności, kiedy określał właściwość i cechy literatury naszéj: literatura polska jest pomiędzy literaturami dzisiejszemi jedyną *poważną*, poważną przez ducha z którego pochodzi i dla celu, do którego ciągle dąży. Da się to zastosować w całéj rozciągłości do Spekulanta. Powieść taka wyszła z rzeczywistości i życia, i zmierza ku niemu napowrót; a trafi w samo serce czytelnika niezawodnie daleko prędzéj, niż najświetniejsze rojenie bez celu, bez prawdy, bez podobieństwa. Tajemny jest i niewytłomaczony związek świata realnego z idealnym, ale nie mniéj niezawodny; tém zaś bliższy, im więcéj jest *prawdziwego* pokrewieństwa pomiędzy obydwoma. Przez pokrewieństwo prawdziwe nie rozumiem bynajmniéj ślepego i literalnego kopiowania, przeciw któremu w sztuce się raz na zawsze oświadczam, — ale raczéj odbicie się w dziele poetyczném tego wszystkiego, co społeczność rzeczywistą porusza, kieruje, poniża lub pod-

nosi; odbicie się wszystkich tych potęg moralnych, które, choć panują światu niewidzialnie, głębszym naturom jednak ruch życia i przewagi swojéj objawiają. Pierwszą tedy powinnością pisarza jest, stwarzać światy poetyczne takie, w którychby te same potęgi rządziły, które życiem naszém rzeczywistém kierują. Poetyczność utworu natenczas nie na oryginalnych podrzutach fantazyi zasadzać się będzie, ale raczéj na téj przejrzystości wypadków, w których wszędzie i zawsze widzialna jest przytomność wyższych czasu potęg. Rząd ich nad światem rzeczywistym, jak powiedziałem, zazwyczaj oku pospolitemu zakryty, wykonywa się pomału, tak iż nieraz kilka mija generacyi, nim w postaci wszechmocnéj sprawiedliwości zaczyna triumfować. Ztąd w rzeczywistości nieraz wypadki zachodzić zdają się z przypadku, za zrządzeniem ślepego trafunku; i to jest przyczyną, dla czego życie rzeczywiste nazywa się prozą. Tę prozę więc oczyścić tylko powinien poeta, i tak uszykować krzyżujące się wydarzeń ścieżki, aby na każdéj widzialne były stopy opatrznéj istoty, kierującéj wszystko w imieniu dobrego i prawdy. Świat sztuki natenczas nie będzie światem wymarzonym, ani nowym jakimś planetą, gdzie zamiast słońca bengalskie przyświecają promienie: ale znanym nam, własnym naszym światem, który tém bardziéj będziem mogli kochać i rozumieć, że go poeta odsłonił ze strony istotnéj i wewnętrznéj, gdzie zamieszkuje opatrzność; że go poeta tak przed nami postawił, iż za jednym rzutem oka nie tylko ogarniamy rozpaczne zawikłanie wydarzeń, ale i rozwikłanie ich ostateczne. Rozwikłanie to témbardziéj ufność i dobre każdego serca popędy utwierdzi, im bardziéj tyczyć się będzie spraw żywotnych, i z położenia obecnego wyjętych.

Z tego co powiedziałem, wypada, iż nie tyle oryginalność stanowi zaletę poetycznego dzieła, ile raczéj przejrzystość; nietyle rozmaitość i kunsztowność sytuacyi, ile raczéj takie ich ustawienie, aby w każdém oczywisty był ruch i życie potęg, panujących nad sprawami ludzkiemi. Przejrzystość, powtarzam, nadaje wyższość światu

sztuki nad zagmatwanym światem rzeczywistym; i na niéj przedewszystkiém zasadza się poetyczność.

W *Spekulancie* zamierzył sobie autor wystawić wyższość miłości wspartéj rozumem, miłości spoczywającéj na względach głębszych, na przymiotach nieprzemijających, miłości płynącéj z prawdziwego źródła osobistéj wartości. Takiéj miłości wyższość wystawił po nad miłość zwyczajną, przypadkową, indywidualną; która nie bada, nie pyta o względy wewnętrzne i istotne, ale zasadza się na pozornych i ubocznych pobudkach, a czasem na niczém inném, jak na raz powziętéj skłonności serca. Miłość ta, o jakiéj tu mówię, gorętsza i silniejsza być się zdaje, bo polega na wszystkich prawach serca, które im mniéj ma pobudek, tém bardziéj przy swojém obstaje; jednakowoż okazał nam autor całą niemoc pozornéj téj siły, wplątawszy ją w walkę z miłością ową głębszą jaką wyżéj określiłem. Serce jednéj i téj saméj kobiety (któż zdatniejszy na bohatyra dziejów, gdzie o miłość chodzi, nad kobietę?) przechodzi obadwa te stadia miłości: ztąd powieść ta nie kończy weselem jak inne, ale je odbywa w pośrodku. Za to triumf lepszéj téj miłości jest celem i końcem romansu.

Treść jego taka:

Młody człowiek, P. August Molicki (ewentualnie spekulant) spotyka się przypadkiem w podróży w nędznéj żydowskiéj karczemce z Panią Chorążyną Wolczyńską, która równie jak on powraca z Odessy, i odwozi córkę po ukończonéj edukacyi z pensyi do domu. Spotkanie to ważną jest chwilą w jego życiu, jak się to zaraz pokaże. Pan August różne już przeszedł koleje, przez co charakter sobie urobił wyraźniejszy niżby w wieku jego spodziewać się można. W Krzemieńcu doszedł do klassy drugiéj, wychowanie dokończył w domu na wsi, pod sterem guwernantki siostry swojéj, która go do pięknéj francuzczyzny wprawiła. Resztę edukacyi dopełnił na zjazdach młodzieży, na jarmarkach w Jarmolińcach i Berdyczowie, a tak, że gdy doszedł do lat 20, był to młodzieniec skończony, rycerz przy zielonym stole, niezwy-

ciężony przy butelce, na wyścigach czy konnych, czy wozowych niepokonany, i w najgłówniejszém rzemiośle ówczesnéj młodzieży tak biegły, że mógłby się był odpłacić w wielu względach wzajemną lekcyą dawniejszéj swojéj nauczycielce.“ — W tym czasie stracił matkę (ojciec dawniéj już umarł), siostra wyszła za mąż, Pan August został więc dziedzicem pięknéj wsi na Podolu. Gdy jednakże trzeba było zapłacić posag szwagrowi, a oprócz tego i liczne długi, które przez czas pierwszéj młodości swojéj tu i owdzie był pozaciągał: upamiętał się, przestał szaleć z młodzieżą po okolicznych hulankach, zamknął się w domu, gospodarstwa nie opuszczał, i nie wyjeżdżał z Zakrzewka swego, chyba że się spodziewał gdzie wielkiego obłowu w karty, które zawsze lubił, jako sowite źródło pieniędzy, grał bowiem zawsze szczęśliwie, bo grał z zimną krwią. Kłopoty gospodarskie przyprowadziły go zwolna do tego wielkiego rezultatu, że pieniądz dzisiaj rządzi światem; w tym kierunku więc urządził całe swoje życie i „jak Mieczysław zrobił się w mgnieniu oka starym.“ Jedynym celem wszelkich jego myśli było: ożenić się bogato. Ten tylko krok mógł go od razu postawić u owego pożądanego celu, do którego inne drogi prowadzą długo, powoli. Tak więc każdy jego krok, każdy czyn nie zmierzał do niczego innego, jak aby jak najprędzéj przysposobić się do téj wielkiéj wyprawy na bogatą żonę. Że zaś miał zwyczaj i umiał wszystko obrachować z góry, i nie chciał w czém chybić, coby mu szyki popsuło: dopełniał wszelkich warunków, pod któremi wyprawy podobne się szczęśliwie udają.

„Gdy raz ubrany z całą elegancyą, na jaką Podole zdobyć się mogło, gładząc wąs średnim palcem pięknéj swéj ręki, stanął przed zwierciadłem dla wyexaminowania się, czy może już rozwinąć chorągiew i uderzyć w trąby: przypomniał sobie, że nic nie widział, prócz Jarmoliniec i Berdyczowa. Upokorzony tą myślą, i widząc jak zupełnie inném okiem patrzą u nas, szczególniéj kobiety, na człowieka wracającego z za granicy, postanowił i ten jeszcze powab przydać swojéj osobie, i tak

skompletować swe uzbrojenie do zaczepnego działania. Zebrawszy się więc z siłami, pojechał do Warszawy, ztamtąd do Berlina, nad brzegi Renu, do Szwajcaryi, zajrzał do Włoch, i po roku wędrówki wrócił do domu w jesieni.“ — Teraz dopiero nic już nie dostawało przyborom jego, postanowił więc przystąpić do wielkiego dzieła zaraz téj jeszcze zimy. Na kontraktach kijowskich sposobności ku temu oczekiwał, czas ten nadchodził coraz bliżéj; przypadek jednakże zrządził, że wprzód jeszcze wybrać się musiał w interesach familijnych do Odessy. Sprawiwszy wszystko pomyślnie, spiesznie powracał do domu, gdy oto w małéj karczmie znalazł to wszystko, czego szukać miał dopiero na dalekich kijowskich kontraktach: Pani Chorążyna była żoną sławnego w okolicy skąpca, który za milionowego uchodził; a Panna Klara, młoda, prześliczna dziewczyna, była ich jedynaczką. Znał był dom ich już dawniéj trochę Pan August, nie trudno więc było się przypomnieć, tém bardziéj, że zarazem mógł im się wielce przysłużyć w niewygodném położeniu podróżném, ustępując zajętéj wprzody przez siebie stancyi, prócz któréj, dla później przybyłéj Pani Wolczyńskiéj nie było innego schronienia na noc, jak brudna, zaswędzona komnata żydowska. Ofiara ta Pana Augusta przyjęta została naturalnie z wielką podzięką od matki, z znaczącém wejrzeniem od córki, która od pierwszego tego momentu poznania, aż do końca podróży coraz to nowe, coraz większe zalety upatruje w tém bezinteressownem a połączoném z tylu powabami postępowaniu młodego, ledwo znajomego, człowieka. Zaraz w pierwszym dniu, po przepędzonym wspólnie wieczorze w owym pokoju gościnnym, uczuła ona, że serce jéj nową epokę życia zaczęło: gdy Pan August wyszedł, Panna Klara oddała dobranoc matce, rozebrała się czém prędzéj, położyła się, i obróciwszy się do ściany i zakrywszy twarz obiema rękami, dała wolny bieg myślom. Czuła ona, jak jéj twarz płonęła pod gorącemi dłoniami, jak jéj pulsa biły, jak łezka niewinna i poetyczna wymykała się z pod zamkniętéj powieki. Po pe-

wnym przeciągu czasu, przyciskając bijące serce, które po raz pierwszy takim dziwnym sposobem stukało w jéj dziewiczém łonie, przypomniała sobie, że jeszcze nie zmówiła pacierza. Zaczęła więc modlitwę, ale ją krzyżowały inne obrazy, inne słowa, inne nadzieje. Ze trzy razy zaczynała Ojcze nasz i dokończyć go nie mogła. Chciała więc siebie przekonać, zmusić do uwagi; ale jéj przeszkadzał obraz pięknego młodzieńca, jego głos męski i ujmujący, jego maniery pełne grzeczności i naturalności. Tak walczyła z sobą długo; i w téj walce pacierza, z rodzącym się głosem serca usnęła.“

Inszy był bieg myśli w tymże samym czasie P. Augusta: „wróciwszy do siebie, kazał sobie dać fajkę, położył się wygodnie, i rozważał, jak ma daléj postępować. Łamał sobie głowę, jak ująć matkę, która mu się zdała kobietą rozumną, pełną uczuć szlachetnych i delikatnych; a szczególniéj, jak przekonać lub zwieść skąpego ojca. Tak układając plany ważnéj wyprawy, którą miał przed sobą, licząc, ile będzie mógł otrzymać zaraz, ile przy najdłuższém życiu Chorążego urośnie majątku, nie przeżegnawszy się, nie wspomniawszy nawet o Pannie Klarze, z jakąś ogromną liczbą na ustach, zasnął.“ W dalszym ciągu téj podróży tyle dowiódł strategicznéj biegłości z jednéj strony w uległości i dogadzaniu matce, z drugiéj strony w usidleniu serca Panny Klary, że Pani Chorążyna powzięła wielkie wyobrażenie o jego rozsądku i wytrawionym charakterze, a młoda panienka już na drugim noclegu wyznała swéj poduszeczce, że go kocha, kocha tkliwie, namiętnie, na całe życie, co też przenikliwy Pan August wyczytał nazajutrz w jéj oczach. — Otóż początek dziejów miłosnych, które się rozwijają w dalszym ciągu powieści z przyspieszonym, coraz prędszym prądem. Dość spojrzeć jednak na wskroś na cały ten stosunek, aby módz z góry osądzić tę miłość, z jakiego płynie źródła, na jakich się opiera powodach, jaka ją czeka przyszłość. Miłość to czysta, pierwsza w życiu młodéj dziewczyny, a więc silna i gorąca: że jednak jest uczuciem ślepém, łudzącém się, a więc złudzeniem,

to już ztąd widoczne, że przedmiot téj miłości jest niegodny nietylko przywiązania, ale nawet szacunku.

Naprzeciw Pana Augusta, który jest jakby typem licznéj bardzo części młodzieży tegoczesnéj, wyprowadza autor na scenę postać zupełnie różną, typ przeciwny; który jest tém rzeczywiście, czego Pan August jest tylko pozorem. Powróciwszy Pan August do domu, znalazł u siebie szwagra i siostrę, która zimno przezeń przywitana, a z natury czuła i tkliwa, czułego też przywiązania od brata wymagała, zasłabła ze zbytniego wzruszenia, i w chorobie czas dłuższy w domu jego musiała bawić. Nie na rękę to było Panu Augustowi; ale cóż miał robić, siostry choréj z domu odesłać nie było można, zwłaszcza, że się obawiał ostrego języka Pana Kaspra Barskiego, swojego szwagra; więc jak mógł tak kłamał przywiązanie i tkliwość uczuć ku siostrze, byleby tylko co prędzéj wyzdrowiała, i uwolniła go odjazdem swoim od tak przykréj i uciążliwéj dla niego wizyty, dla któréj nie mógł pospieszyć do Niedolipia, majętności Pana Chorążego, i kończyć tam głęboko obliczone swe plany, to jest zdobyć przyjaźń skąpego ojca, pozyskawszy już szacunek u matki, tkliwéj na uczucie rozkochanéj córki. Nie wiedziano w domu Państwa Wolczyńskich, dla czego P. August tak długo z wizytą przyobiecaną zwlekał — a P. Klara wpadała już na tysiączne domysły, które ją tém bardziéj bolały, im mniéj uniewinnić przed nią mogły tę niepojętą obojętność kochanka.“ Razu pewnego stała ona w oknie sama jedna i wyglądała na dziedziniec. Jedną ręką trzymając chusteczkę, którą co moment ocierała szybę, okrywającą się potem od jéj oddechu, drugą igrając z gęstemi lokami, które twarz jéj ocieniały, nóciła motywy z Normy, często je sobie przerywając serdeczném westchnieniem. Tak przeminęła prawie godzina, a na dziedzińcu było pusto i cicho. Nie masz takiéj cierpliwości, któraby się nie znużyła daremném oczekiwaniem. Jeszcze więc raz przyłożyła twarz swoję do zimnéj szyby, i potém nadąsawszy się i tupnąwszy z lekka drobną swą nóżką, odeszła od okna i przybliżyła się do wprawio-

nego w przeciwną ścianę zwierciadła, jak gdyby je chciała zapytać: powiedz mi, także m brzydka, żeby ze mną tym sposobem postępował ten, któregom tak szczerze, tak serdecznie pokochała? Ale zwierciadło odpowiedziało zupełnie co innego. Zwierciadło pokazało jéj twarz miłą i piękną, ocienioną bogactwem prześlicznych włosów; kibić wyniosłą, wciętą i zgrabną. Nie mogła się nie uśmiechnąć z ukontentowania, obaczywszy się tak ładną. Ale ten uśmiech przemknął się jak błyskawica, i tém głębszy smutek osiadł na jéj czole. Odwróciła się, pochyliła głowę, i załamawszy ręce, tak stała sama jedna na środku pokoju. W tém uderzenie z bicza dało się słyszeć.“ Nie był to jednak Pan August, jak spodziewała się na pewno Panna Klara; przeciwnie oto wprowadza na scenę autor człowieka, o którym już wyżéj powiedziałem, że jest typem owemu tam zupełnie przeciwnym, człowieka lepszéj części społeczeństwa naszego, który pomimo całą rzeczywistość swego charakteru, nie przestaje przez to być prawdziwym ideałem mężczyzny. Pan Henryk Zabrzeziński, marszałek powiatowy (takie imie i godność nowo przybyłego) był to mężczyzna mogący mieć lat trzydzieści sześć lub siedem; charakter tak autor skreślił:

„Skończył on kurs w szkole Krzemienieckiéj, w najświetniejszéj epoce tego zakładu. Nie mógł on wynieść z niego kompletnych znajomości w jakiéj bądź nauce, bo to nie był uniwersytet; ale wyniósł to braterstwo obywatelskie, te czyste i wysokie pojęcia ludzkości, tę świętą chęć doskonalenia się własném usiłowaniem i ciągłą pracą, które były niewątpliwą cechą lepszych szkoły téj wychowańców. Jego umysł i serce, bogate jak Podolska niwa, dobrze uprawione i przygotowane w Krzemieńcu, przyjęły wdzięcznie siejbę, jaką w nie później świat, życie społeczne i dalsze okoliczności rzuciły; i owoc jéj już spożywali jego poddani, jego współobywatele, jego sąsiedzi. Henryk Zabrzeziński był kochany, był szanowany od wszystkich. Nazywali go wprawdzie niektórzy dumnym; lecz u nas nie trudno o takie posądzenie czło-

wieka światłego, który nie lubił uczt i festynów, a trzy czwarte swojego dochodu łożąc rocznie na ulepszenie majątku i ozdobienie swojego ustronia, zamykał się w niém i pracował samotnie. Wszakże to nie zmniejszało dla niego powszechnego szacunku i ufności. Jego pośrednictwo było zawsze pożądaném, jego wdanie się prawie zawsze skuteczném. Nawet jego nieprzyjaciele (bo któryż człowiek wyższy ich nie ma?) rumienili się, gdy się im jakie ubliżające słowo wymknęło, które zwykle padało przez nikogo niesłuchane.“ Od dawnych lat był Henryk Zabrzeziński przyjacielem Pani Chorążynéj; na młodość i rozwijanie się Panny Klary patrzał z bliska, bawił się z nią jak z dzieckiem, nie taił jednak nigdy przed sobą, że w czasie gra ta z tak powabném stworzeniem zrobić się może bardzo niebezpieczną. Co przeczuwał, to się następnie téż stało: przyszedł czas, gdzie powiedzieć sobie musiał: *albo ta, albo żadna!* A choć od téj chwili życie jego stało się ciężką walką, taił on jednak głęboką swą namiętność i czekał lepszéj pory odsłonienia swych uczuć. Spodziewał on się ulgi jedynie od czasu, od lat dojrzalszych ubóstwianej panienki, i może od jakiego ciężkiego zawodu, któregoby doznała; ale serce jego gotowe było zamknąć się w wieczném milczeniu, gdyby i w jéj duszy powstała miłość dla kogo innego, usprawiedliwiona wyborem matki.

Takie było nastrojenie umysłu i serca Zabrzezińskiego, kiedy po powrocie z Odessy Panią Wolczyńskę i „kochaną Klarunię“ przybył przywitać. Nie uszło przed jego okiem, że przywitanie téj ostatniéj nie było z tą dziecięcą swobodą, jak przed czasem niedawnym; gdy więc na tę materyą skierował rozmowę, Pani Chorążyna, w zaufaniu i nieograniczonym szacunku, jaki doń miała, opowiedziała mu na ustroniu wszystko to, co około Panny Klary zaszło. Nie dał poznać Pan Marszałek po sobie, ile go ta wiadomość przeraziła; przyrzekł nawet zebrać szczegóły o bliższych stosunkach Pana Augusta, o które go Pani Wolczyńska prosiła; stosunkach nie tak majątkowych, bo na tych szanownéj a rozsądnéj kobiecie mniéj

zależało, jak raczéj osobistych a istotnych. Kiedy od téj rozmowy wrócili do salonu, twarz Marszałka była okropnie blada, usta ściśnięte, oczy w ziemię spuszczone, a krok niepewny i chwiejący się. Tego jeszcze wieczora wyjechał — poświęcając nadzieje swoje, przez tyle lat w sercu żywione, szczęściu Panny Klary, jeżeli rzeczywiście będzie mogła je znaleść w pożyciu z innym. To zaś pytanie, czy Pan August Molicki jest tym człowiekiem, któryby był zdolnym ją uszczęśliwić, czy nie, postanowił co prędzéj rozstrzygnąć i w interesie swoim, i Pani Chorążynéj, a nadewszystko w interessie ukochanéj Klaruni. —

Nie będziemy tu szczegółowo opowiadać, jakiemi drogami dochodził i on i matka do wywiedzenia się i wybadania, jaka jest wartość osoby i przywiązania P. Augusta: dość powiedzieć, że były to sposoby godziwe, i z strony Marszałka zupełnie bezinteressowne. Wypadek poszukiwań tych przyspieszony zresztą został częścią przez trafunek, jeszcze więcéj przez to, że sam P. August ze słabą stroną swoją, t. j. egoizmem, zimnotą, chciwością i spekulacyą się wydał, *) najwięcéj zaś przez figurę całkiem oryginalną, chociaż do tego stopnia rzeczywistą, że jeśliby kto o prawdopobieństwie jej wątpił, obiecuję pokazać alterum illum, podobnego jéj zupełnie w liczbie najbliższych mych znajomych. — Pan Kasper Barski, złowieszczy szwagier Pana Augusta „był to człowiek pełen rozumu, umiejący kombinować postępki i ich powody, a przy tém długojęzyczny, zły, który wszystko wiedział, wszystko wygadał i nikogo nie szczędził. Zwła-

---

*) Charakter Pana Augusta, zdaje nam się, nie jest przeprowadzony jednak przez cały ciąg powieści w należnéj symmetryi i konsekwencyi. W pierwszéj części wystawia go autor daleko lepszym, wreszcie daleko biegléj przewidującym obroty rachuby swojéj, niż izbyśmy się spodziewać mogli, że następnie tak się zapomni, i tak niezgrabnie, brudy duszy odkryje. W ogólności nie jest dość zręczny sposób, w jaki się zdradza Pan August. A upadek jego do ostatniego poniżenia moralnego zbyt jest przyspieszony i jak dla czytelników pierwszéj części powieści niespodziewany.

szcza po dobrym obiedzie, gdy jeden i drugi kieliszek wina był w głowie, zaostrzał się jego język, i z dziwną szybkością, jak kosa dobrego kosarza, podcinał wszystko co spotkał. Genealogia sąsiadów i sąsiadek dalszych i bliższych; rodowód z folwarku tych, co mieli pretensją do Jagiellońskich czasów; wywód metrykalny lat niektórych Pań, tak dokładny i szczegółowy, jak gdyby był zakrystjanem w téj parafii, gdzie chrzest przyjmowały; projekta ojców mających na wydaniu córki; projekta matek pragnących bogato ożenić synów; intrygi mężatek i wdów; harbuzy, z któremi wracali do domu kawalerowie; charakter, słabości urzędników; zamiary i manewra przyszłych konkurentów wyborowych; słowem, wszystko co się działo i dziać miało w powiecie, Panu Kasprowi wiadomo, i naturalnie, wymówione w oczy i po za oczy bez żadnéj ceremonii. Pan Kasper nie był brzydki; jeśli kogo kochał, miał dla niego twarz ładną i wyraz pełen szlachetnéj tkliwości; ale kiedy kogo nie lubił, kiedy złość w nim burzyła się, kiedy pogarda nim miotała, przekrzywiał głowę, mrugał prawém okiem, i nadawał swojéj twarzy wyraz przykry i straszny. W rok po ożenieniu złamał był nogę; i źle wyleczony, odtąd kulał. To kalectwo jego skombinowane z jego złośliwością, z wiadomością wszystkich sekretów i z tym przykrym wyrazem twarzy, który miał najczęściéj (bo mało kogo kochał), nadało mu w powiecie przydomek kulawego djabła. Był on wszędzie gościem strasznym i pożądanym: każdy bowiem drzał, aby się przed nim niewydać ze swojemi sekretami, a rad był dowiedzieć się sekretów sąsiada. Przyjmowano go więc wszędzie uprzejmie; trzymano przy nim na wodzy serce, oczy i język; ale za to pozwalano mu gadać o bliźnim, co mu ślina do gęby przyniosła.“

Chociaż Pan August, jak to już wiemy, nie był z rzędu tych pospolitych spekulantów i tych drobnych egoistów, którzy się należycie maskować nie umieją; i chociaż do tego stopnia sztukę swoję posunął, że nawet tego wszechwiednego, wszechobecnego kulawego djabła wyprowadził

w pole, i w mrugających oczach jego uchodził za człowieka oszczędnego wprawdzie, ale gospodarnego za to i z charakterem, co w młodym wieku tém chwalebniejsza: — jednakże zrządził przypadek, że człowiek ten straszny, który nietylko krewnego, ale ani nawet siebie szczędzić nie umiał, wpadł na tropy brzydkich przywar i plam w charakterze swojego szwagra, o które go czasami już przedtém blizki był posądzać. Gdyby nie to wydarzenie, które zaraz opowiem, byłby Pan August został mężem Panny Klary; bo już i ze skąpym Chorążym figurą arcy pocieszną, (ale wiele mu podobnych!) sprawa była załatwiona, i cały powiat o bliskiém weselu jego z Panną Wolczyńską gadał. A chociaż nie było jeszcze formalnego oświadczenia się ze strony Augusta, a przyjęcia ze strony Chorążostwa: jednakże cały ten interess tak daleko był już się posunął, że Pan August zaczął myśleć o stosowniejszém umeblowaniu domu, o sprawieniu wystawnego ekwipażu, koni, szorów i t. p. Wszystko to postanowił zakupić na Berdyczowskim jarmarku, ta jedna tylko zachodziła tam jeszcze trudność, że nie miał tyle gotowych pieniędzy, ile na to było potrzeba. W tymże czasie nadeszła na jego ręce kwota z Banku komercyjnego w Odessie w ilości 5,000 rubli sr., kwota należąca się siostrze jego, jako ostatnia część jéj posagu tamże dawniéj ulokowanego. Pan Kasper w interessach skandalicznych nieporównany nie był takim w interesach gospodarskich i majątkowych; tak dalece, że zagrażał mu termin przedaży jedynéj wioski z publicznéj licytacyi, jeżeliby nie spłacił długu, który był zaciągnął dawniéj, przed dniem 15tym Czerwca. Czas ten się zbliżał, położenie było ciężkie; jedyną nadzieję wywikłania się z tego ambarassu pokładał więc na tych 5,000 rubli, których codzień wyczekiwał a wyczekiwał napróżno. Pan August pieniądze te dawno miał w ręku; nie odsyłał ich jednakże, co miał natychmiast uczynić, bo niemi postanowił zapłacić wszystkie owe wydatki, które mu były do ślubu konieczne. Co większa, wprost odpowiadał na liczne wywiadywanie się szwagra, że pieniądze nie nadeszły; które to odpo-

wiedzi tém więcéj miały wiary w oczach siostry jego, że pisane były z współczuciem, i wyrzekaniem na niesumienność Odeskiego Banku. Inaczéj jednak uważać tę niesumienność zaczął nareszcie Pan Kasper: nikt się nie zdziwi, że i w téj sprawie miał on swoje wiadomości i swoich korrespondentów. Przekonawszy się tedy nakoniec wyraźnie i doskonale, jak się rzeczy mają, czekał końca, i jak szatan, czychający na czyją zgubę, z kipiącą od złości i zemsty żołcią, szwagra swego z oka nie spuszczał. Obrot rzeczy pomyślny załatwił trudne jego położenie z owym długiem i licytacją; w inny sposób miał tedy Pan Kasper tym więcéj czasu i wolnéj myśli oddać się całkiem śledzeniu postępowania Pana Augusta. Jarmark Berdyczowski nadszedł; pojechał na niego Molicki, a za nim jednym traktem Pan Kasper, drugim Marszałek; który w tym gwarze ulicznym, w tym zmięszaniu najrozliczniejszéj młodzieży, prędzéj niż gdziekolwiek indziéj spodziewał się wybadać wszelkie skłonności szczęśliwego rywala. Gdyby Pan August nie był tak blisko mety wszystkich życzeń i rachub swoich, byłby się więcéj miał na ostrożności, nie byłby się ośmielił na tak brudny postępek, który go w opinii publicznéj tak łatwo mógł zgubić; nie byłby wreszcie zdjął z siebie maski wytrawionego i ustatkowanego człowieka na samym już jarmarku. Lecz zanadto zaufał szczęśliwym dotychczas swoim rachubom; nie wiedział, że go i tu śledzą — pozwolił tedy sobie i tego oszukaństwa siostry, i niejednego innego jeszcze, do czego go dawne znajome i indywidua i kąty Berdyczowskie tém bardziéj pociągnęły. Podczas jarmarku jeszcze, nim Pan Kasper i Marszałek pospieszyli przybyć do Niedolipia z nowinami Berdyczowskiemi, wielce się przysłużyła podrzędna bardzo figura, bo żyd arędarz Młynu, przy wykryciu poszukiwanéj zagadki. Jemu to bowiem najprzód zwierzył się Pan August z skłonnością spekulacyjnego swego umysłu, przekupując go i datkiem i większemi jeszcze obietnicami, aby zgrabnie a nieznacznie wywiedział się, ile mu też ten skąpy Chorąży od razu da posagu. Żyd

miał w tém swoje przyczyny, aby to zaraz Państwu Wolczyńskim donieść; i tak podejrzenie o nieszlachetnych a interessownych zamiarach Pana Augusta, zkąd inąd poruszone już dawniéj, nowiną tą zaostrzyło się tém więcéj. Drobnostkę tę wspominamy dla tego, aby okazać, że ten obrot opinii o układnym kawalerze, jaki się niezadługo w całéj rozciągłości wykona, niekoniecznie skutkiem był zabiegów Pana Kaspra i Marszałka, którzy o interessowność tu posądzeni zresztą z wielu powodów, bardzo jasno w powieści wystawionych, być nie mogą. Wszakże wieści, które z Berdyczowa natychmiast do Niedolipia przywieźli, stanowczą sprawiły zmianę rzeczy. Fakta na Pana Augusta były następujące: noce w Berdyczowie spędzał Pan August przy kartach, jako szuler między szulerami; owa szkaradna historia, gdzie tak brudno dopuścił się oszukaństwa własnego rodzeństwa; nakoniec następujące słowa powiedziane przez niego w publicznéni towarzystwie, (słyszane przez Pana Kaspra i przez Marszałka), z których widać, że ani Panny Klary nie kochał, ani w ogóle miłości i wszelkich uczuć wyższych za nic nie ceni.

„Fundamentem w oczach każdego rozumnego człowieka jest posag; edukacją, piękność, urodzenie uważam za piękne gipsowe ozdoby téj budowy. Ale one mogą być lub nie być, a dla tego gmach wystawiony na twardym gruncie będzie stać, będzie w nim ciepło i wygodnie. A miłość? Miłość mam za środek, za paszport, za pomocą którego mężczyźni dostają się do serca młodych i bogatych dziedziczek, i w nich zyskują sobie potężnych sprzymierzeńców przeciw rachubom ojców i matek. Zapewniam, że wszyscy mówić niezadługo będą głośno, tak jak teraz wszyscy tylko myślą, że małżeństwo jest spekulacją, nic więcéj."

Wieści te na wieki zamknęły dla Pana Augusta podwoje domu Wolczyńskich. Wysłuchawszy ich Pani Chorążyna z ust Pana Kaspra — Marszałek stał opodal smutny ale milczący, — i widząc tego, w którym już jedyną pokładała nadzieję, nieruchomym, ledwo litującym

się: „O ty mnie nie chcesz rozumieć, nie chcesz pojąć rozpaczy matki, zawołała z boleścią, wzięła za rękę i poprowadziła do lustra. Patrz, widzisz tę nędzną twarz, te plamy na skórze zeschłéj i zmarszczonéj? To są skutki tajonych łez, dwudziestoletniéj walki, życia pełnego goryczy, nieozdobionego żadną chwilą szczęścia. To są suchoty, Marszałku! Dni moich niewiele. I ona, co była jedyną moją pociechą, zostanie bezemnie, sama jedna z takim ojcem, ze zgubną namiętnością w sercu, bez opieki, bez rady, sierotą, sierotą!" — Tu dopiero wykrzyknął Marszałek uniesiony widokiem takiego bolu nieszczęśliwéj kobiety: Więc oddajcie mi ją! — O mój dobroczyńco, zawołała Pani Chorążyna, chwytając jego rękę i całując w uniesieniu. Zrozumiałeś mnie nareszcie! I wysilona, zsunęła się na krzesło.

Niedługo potém nastąpiło wesele Panny Klary, nie z Panem Augustem, ale z Marszałkiem. Szlub nie odbył się bez scen, jakich w podobném położeniu można się spodziewać, ale odbył się jednak. Lubo dziewczyna ta nie wierzyła żadnemu z tych oskarzeń, jakie się zewsząd na Pana Augusta gromadziły, i mając świat cały za sprzysiężony przeciw swemu szczęściu, tém bardziéj tylko jeszcze nieszczęśliwego w mniemaniu swojém młodzieńca kochała, ubóstwiała; jednak posłuszeństwo dla ukochanéj matki przemogło, została więc żoną, od téj chwili znienawidzonego sobie człowieka. Teraz zaczyna się najoryginalniejsza część powieści, nosząca cechę wielkiego talentu; głęboko pomyślana, biegle przeprowadzona, całkiem psychologiczna. Tylko człowiek na wskroś świadom serca ludzkiego mógł podobny pomysł wykonać. Nie małe to zadanie tak naturalnie, z taką prawdą zakreślić całą tę skalę uczuć od najdzikszéj nienawiści do zupełnego pogodzenia, i niezmąconéj żadną rezygnacją miłości, jaką odtąd tytularna żona Pana Zabrzezińskiego przechodzi. Utworzenie tych sytuacyi, tych przejść tak głęboko i organicznie wykonane, samo już zapewniłoby Korzeniowskiemu miejsce pomiędzy najlepszymi pisarzami naszymi. Bo nie dość, że wystawił nam co

to jest miłość prawdziwa; na rzeczywistych, istotnych i osobistych polegająca względach: potężna nie urojeniem upartego w zachceniu swém serca, ale przez świadome i niezbite uznanie wszystkich tych przymiotów jakie nadają człowiekowi bezwzględną wartość i cenę. Autor Spekulanta odsłonił nam nadto całe dzieje tego szlachetnego uczucia; postawił przed nami genezę jego i fizyologią niejako; nie pomijając żadnego z pierwiastków i żywiołów, z których w końcu ten kwiat rozwiniętego serca ludzkiego zakwita. W samotności postawił tę bolejącą kobietę, schorzałą moralnie, pełną uprzedzeń, pokrzywdzoną na wieki w mniemaniu swojém. Nie otaczają jéj żadne wpływy zewnętrzne, żadne namowy, przekładania. Jak chorobliwa roślina, zostawiona ona jest saméj sobie; i czuwa nad nią, jak ogrzewające z wysoka słońce, tylko opatrzna piecza Marszałka, który z początku niewidzialnie odepchnięty, otacza ją atmosferą zdrowéj i we wszystkich władzach ducha wykończonéj osobistości swojéj i tak powoli tę ducha chorobę leczy, nakoniec na zupełne, pewne i żadnéj recydywie nie podległe zdrowie zamienia.

Zamiast szczegółowych opisów, w jaki sposób odbyła się ta moralna kuracja, pozwolę sobie dwóch dłuższych wyjątków, malujących jéj początek i koniec. Środek niech sobie czytelnicy sami wypełnią.

W dniu szlubu, gdy koło godziny jedenastéj goście udali się do naznaczonych sobie pokojów: ojciec i matka odprowadzili Państwa młodych do siebie. Odebrawszy raz jeszcze błogosławieństwo ojca i matki, Panna Klara została sam-na-sam z mężem. Stał Marszałek oparty o ścianę, patrzał z miłością boleści na żonę — ona chodziła po pokoju z głową zwieszoną, pogrążona w myślach; przypominała sobie wszystkie bolesne uczucia już doznane, i zaglądała w przyszłość zimną, pustą jak step zamarzły. Tak przeszło z pół godziny. Wreszcie przystąpiła do niego z twarzą surową i pełną gorzkich wyrzutów, załamała swe śliczne rączki, i opuszczając je i prostując się, rzekła: — Miałżeś Pan sumienie?

— Miałem święty obowiązek, odpowiedział poważnie. — Sumienie nakazywało mi go wypełnić, wypełniłem.

— Więc sumienie nakazywało Panu zrobić mię nieszczęśliwą? —

— Sumienie i przyjaźń nakazywały mi odwrócić od Pani nieszczęście rzeczywiste, grożące łzami i żalem całego życia, a narazić Panią na ból, wielki prawda, ale przemijający. —

— I to Pan nazywasz bólem przemijającym? —

— Mam w Bogu nadzieję, odpowiedział Marszałek. Panna Klara znowu zaczęła chodzić, a Marszałek został na miejscu. Po chwili zdjęła z głowy wieniec zielony i woal, odpięła bukiet od piersi, i złożyła je na swéj toalecie.“ — Tu nastąpiła znowu nowa rozmowa, nowe explikacye ze strony Marszałka. Słowa jego uspokoiły gniew Panny Klary. „Schyliwszy główkę, z początku zamyśliła się; potém łza za łzą padała na jéj czystą sukienkę; a nakoniec płacz rzewny i obfity przyniósł jéj ulgę. Pozwolił jéj Marszałek wypłakać się do woli: a gdy się cokolwiek uspokoiła, rzekł: — Utul się Pani i rozbierz się z téj sukienki, która ci pewnie cięży. Uklęknij przy tém łóżku, z tą myślą, że klęczysz przy swojém panieńskiém łóżeczku. Pomódl się Pani, aby twój heroizm dzisiejszy nie był bezskutecznym i wrócił zdrowie matce; a uśniesz spokojnie, jeśli uśniesz z tą modlitwą na ustach. — To mówiąc, wziął jéj rękę, pocałował i dodał: — Dobra-noc Pani. — Potém wyszedł do drugiego pokoju, zamknął drzwi; i Panna Klara usłyszała stuk zamka, w którym dwa razy klucz się obrócił.“ —

Taki był początek. Obaczmy jaki był koniec. W interessie powiatowym oddalił się był Marszałek z domu na kilka dni. Oto właśnie jest spodziewany:

„Po obiedzie wystroiła się Panna Klara z dziwną kokieteryą; wzięła leciutki szlafroczek, najpowabniejszy czépeczek: przemywała co moment oczki zimną wodą, aby nie widać było płaczu; a gdy się zaczęło ciemnieć, a Marszałek nie przyjeżdżał, posłała dwóch kozaków konno

z pochodniami, aby jechali póty, póki go nie spotkają. Kamerdyner odebrał rozkaz czekać go na ganku. Wszyscy ludzie byli w ruchu i coraz nowe odbierali polecenia. Stolik maleńki był nakryty przed kominkiem w salonie i kolacyjka wytworna była przygotowana. Wszystko to zrobiwszy, chodziła Panna Klara niespokojna: — spoglądała to na portret (Marszałka), to na okno; aż nareszcie około godziny dziewiątéj, obaczyła dwa ognie w Dąbrowie. Szybko one posuwały się naprzód, a serce Panny biło gwałtownie i wyrywało się z pod piersi. Jednak zwyciężyła się, usiadła na swojéj kanapce, i tak go czekała. Gdy mu kamerdyner powiedział, że go Pani czeka, oko jego błysło radością i wszedł szczęśliwy.

— Chódźże Pan nareszcie, — odezwała się, przechyliwszy główkę ku drzwiom. — Przyszedł, uściskał obie rączki i nie mógł słowa wymówić.

— Godziłoż się tak długo siedzieć? i mnie biedną pustelnicę zostawić samą? —

— Więc mnie Pani czekałaś? pragnęłaś?

— Widzisz Pan, żem czekała; i tak mi było tęskno, żem kazała tu dla Pana przyrządzić kolacyą, abyś nie miał pretextu uciec odemnie, że ci się jeść chce. —

— Czy Pani wiesz o tém — rzekł Marszałek z zaiskrzoném okiem — jak mię robisz szczęśliwym?

— Może i wiem — odpowiedziała filutka, i podała mu rękę, któréj on nie puścił i któréj ona cofać nie myślała. Ale w téjże chwili klamka ode drzwi stuknęła. Marszałek porwał się i usiadł na swojém miejscu, a wszedł kamerdyner i przyniósł półmisek. Nie do jedzenia było wówczas Marszałkowi, i P. Klara także jeść nie chciała. Popróbowali, pokosztowali, i wkrótce stół wyniesiono. Wtenczas P. Klara usuwając się, rzekła: — Proszęż tu usieść koło swojéj Klaruni (tak w dawnych latach zwykł był nazywać ją Marszałek) i opowiedzieć jéj całą podróż. — Marszałek usiadł; i tak trzymając się za ręce, rozmawiali. Nareszcie wybiła dwónasta. Panna Klara nastawiła mu czoło (i to był także zwyczaj lat jeszcze dziecinnych), które Marszałek pocałował; i zatrzymawszy się

we drzwiach swego pokoju, obróciła się, i wyciągnąwszy rękę, rzekła: — Jeszcze raz dobra-noc! — Przyskoczył Marszałek, uściskał podaną rączkę, i odurzony, chciał ją ku sobie pociągnąć; ale ona cofnęła rękę i weszła do pokoju, a Marszałek został na progu, nie wiedząc co myśleć, co począć. Gdy tak ostatnich sił dobywał i już miał odejść, rzekła P. Klara: — Ach! dobrze, żeś Pan nie poszedł. Jeszcze jedno zapomniałam. Chodź Pan tu. — Kiedy drząc cały, wszedł i zbliżył się do toalety, rzekła mu cała zarumieniona: — Pan posyłałeś kozaka z listem do mamy. Mamy nie ma, i kozak list przywiózł nazad. Ale proszę się na niego nie gniewać. On biedny, mało nie płakał, że mu się list przypadkiem rozpieczętował. Daruj mi Pan ten list! — To mówiąc, wzięła list ze stołu, pocałowała go ze łzą w oku i przycisnęła do serca.

— O tyś moja! — krzyknął Marszałek w uniesieniu i porwał ją w objęcia

— Twoja, twoja Henryku! odpowiedziała." — i t. d.

Nim zakończę tę recenzyą, która nad spodziewanie moje zbyt się przeciągła, nie mogę pominąć jeszcze niektórych uwag. Powieść ta służyć może za dowód tego, com powiedział na wstępie, że nie komplikacya pomysłów, nie wyszukana intryga, ani świetność inwencyi nadaje wartość utworowi sztuki, ale przedewszystkiém *sposób wykonania.* Z jednego i tego samego żelaza (mówi Szyller) kują pospolite sprzęty domowe i odlewają arcydzieła, a portret człowieka zniża niezgrabna ręka na podły wyrób rękodzielni. I w téj n. p. powieści jakaż prostota, jak mało machin i przyborów! Żaden kunsztowny lewar tu przedmiotu nie podnosi; a jednak nikt pewnie książki téj niedoczytanéj do końca nie puści z ręki; a nawet skończywszy, nie od razu potrafi przenieść myśli swojéj na inny przedmiot. Otóż nic innego tu niezajęło tak jego uwagi, jak ten szczery, prawdziwy, tak bogaty w całą poezyą wykonania urok, który obejdzie się bez innych pomocy, obcych sztuce, choć lubionych przez goniących za popularnością pisarzy. Zdaniem mojém u-

twór sztuki tém jest doskonalszy, tém bardziéj przemawia do serca, przejmuje ducha, im jest prostszy; w prostocie tylko zamieszkuje wzniosłość; dzieła muzyczne najlepiéj tego dowodzą; powolny i przeciągły odgłos organów, najbardziéj zachwyca i podnosi ducha. —

Styl w powieści téj przyzwoity i właściwy; czasem jednak bez pełności i kolorytu. Dialogi za to wykonane zręcznie; widać to, że są dziełem dramatycznego poety. Jeszcze zaś bardziéj uważać to można w pełném prawdy zakreśleniu charakterów i biegłém ich przeprowadzeniu.

II.

Tajkury. Powieść narodowa przez Edwarda Tarszę. Wilno. 1846.

Dawno uznaną to jest rzeczą' że krytyka może być dwojaka; dodatnia lub ujemna. Nazwy te konwencyjne, ale rzeczy dobitnie nie określające, znaczyć mają pierwsze krytykę taką, która zasady estetyczne i dobrego smaku w dziele sztuki szczęśliwém i doskonałém jakby w zastósowanie odkrywa i wyjaśnia; tak, iż nietylko chwali utwór sztuki, ale nadto pokazuje, dla czego go chwali, dla czego uznaje go za piękny i prawdziwie poetyczny. Druga krytyka, którą ujemną nazywają, wykazuje przeciwnie niedoskonałość dzieła, gani je, ale zarazem prócz tego tłómaczy się (jeżeli rzeczywiście jest krytyką, a nie gniewem literackim), dla czego nazywa dzieło ułomném, słabém, w czem ono razi smak i uzasadnionym wymagalnościom estetycznym nie czyni zadość. Obydwa te krytyki rodzaje mogą być użyteczne; raz, że kierują sądem publiczności względem wartości dzieł nowych; daléj, że wskazują i autorom właściwą drogę, i będąc niejako organem od czytających do nich, służyć im mogą

za wskazówkę w niejednóm przy dziełach późniejszych; nakoniec — i w tém widzę znaczenie krytyki najwalniejsze — każdy rozbiór i wykład dzieła poetycznego, czy to ujemny, czy dodatni, jest, że tak powiem, *estetyką zastósowaną*. Tu właściwie krytyka wychodzi po za zakres swój dziełem pewném ograniczony, rzucając uwagi nieraz sięgające po za obręb ocenianego utworu, i rozwijając w ten sposób praktycznie estetyki zasady, które nie byłyby tak przystępne dla całego ogółu czytających gdyby je wykładano w głębokim, ale suchym i systematycznym ciągu. Na tém, zdaje mi się, polega największa ważność krytyki, gdyż w tym tylko względzie przetrwa ona często dzieło, które oceniała, a które dla niéj było tylko pobocznym powodem do rzucenia i uzasadnienia myśli a przepisów ogólnych, otwierających tajemniczy świat sztuki nawet szerszéj publiczności. Wykład estetyki takowy, na podstawie praktycznéj stawiony, najbardziéj trafia do przekonania: czego uczy, tego zaraz dowodzi w przykładzie, i rozstrzyga pozorne wątpliwości przez odwołanie się do wrażenia, jakie dzieło na czytelnikach sprawiło. Do dziś dnia n. p. ma Lessynga Dramaturgia Hamburgska ważność ogromną, zwłaszcza dla ludzi praktycznie zajmujących się gałęzią sztuki dramatyczną; a chociaż nigdzie już teraz ani nie przedstawiają ani czytają wielkiéj liczby rozebranych i ocenionych przez niego dramatow, zdania jednak jego przy rozbiorze onych postawione zachowały bezwzględną swoją wartość i znaczenie.

— Owoż chociaż nie jest bynajmniéj przyjemném powołaniem ganić i wykazywać ułomność i mierność utworu poetycznego, tém bardziéj, że nic w świecie nie jest tak nieznośném, jak mierność w dziedzinie sztuki: — a któżby chętnie rozmazywał i zadawał się z tém co jest nieznośne i mierne? — jednakże wyrazy powyższe dowodzą, że potrzebna jest czasem i owa ujemna krytyka dzieł małéj wartości. — Do takich, zdaniem mojém, policzyć należy nową powieść Tarszy, *Tajkury*. Dziwna to rzecz prawdziwie! *Koliszczyzna*, pierwszy płód autora

tego, przyjęta została jak najpomyślniéj; pozostały po niéj dotychczas miłe wspomnienia, i zdawała się wiele zapowiadać o autorze swoim. *Stanica Hulajpolska* obietnice te — w pierwszych tomach — pod wszelkim względem potwierdziła zupełnie: tom ostatni wyszedł późniéj nieco, ale zamiast zatwierdzić wartość całego dzieła, odsłonił przed czytającym światem raczéj jakieś przesilenie, jakąś niemoc wyobraźni autora, i — śmiało to twierdzimy — popsuł utwór tak dobrze poczęty. Nastąpiła potém *Korrespondencya literacka*. Być może, że przebija w niéj tu i owdzie sąd wytrawny, a czasem zdanie ustalone; z tém wszystkiém oceniając wartość jéj ogólną, nie powiemy pewnie nic niesłusznego, że jak od pierwszego razu wiele wywołała wrzawy w czytającéj publiczności, a to dla poziomego jakiegoś i dziwnie nie trafiającego w przekonanie powszechne zapatrzenia się autora na świat nasz umysłowy: tak też pewnie i w dalszych skutkach nie przyczyniła mu nowéj sławy, i odjęła ono przeważne znaczenie, przez które jako uznany krytyk wiele miał znaczenia, i sam jeden prawie stanowił o szczęściu i powodzeniu przedsięwzięć Wileńskich pisarzy. Teraz występuje oto z pracą jeszcze mniejszéj wartości, podobny do największéj liczby naszych pisarzow, którzy zamiast postępować, zamiast ogłaszać coraz doskonalsze, coraz więcéj pomyślane i wypracowane utwory, przeciwnie widocznie coraz bardziéj z wiekiem pochylają się i okazują naocznie przykładem swoim, jak zgubnie kończy się dla pisarza sen na laurach i niedbałość, aby z postępującą literaturą podążyć naprzód, a rosnącym wymagalnościom świata umysłowego odpowiedzieć należnie. —

Powieść *Tajkury* odnosi się do czasow panowania Jana Kazimierza, i wydarzenia, osnowę jéj składające, koncentrują się po większéj części około zamku Tajkurskiego, skąd téż ta nazwa całemu utworowi nadana. Autor na końcu dzieła usprawiedliwia się, aby mu krytyka nie wyrzucała ignorancyi historycznéj: „Wiemy, że Tajkury w XVII. i XVIII. wieku były zamkiem i włością Pe-

płowskich (a nie Lubomirskich albo Mieleszków). Myśmy wymyślili osoby i zdarzenia, jedynie w odpowiedność nieokreślonym wrażeniom, jakie kiedyś już dawno robił na nas w przejeździe widok opustoszałego tajkurskiego zamczyska.“ Z téj strony autor mógł być spokojnym: przeszły już czasy, gdzie wymagano od pisarzy powieści i poematów historycznych, wierności kronikarskiéj dat i imion. W podobnéj jednak pewnie obawie autor nie nazwał powieści swojéj *historyczną*, ale *narodową*: nazwę tę, jak domyślamy się, nadał dziełu swemu z tego powodu, że chociaż w niém nie opisują się zajścia i charaktery rzeczywiście przez historyą przekazane pamięci, polega ono jednak na historyzmie obyczajów starodawnych i obejmuje ogólną dążność, jaka w owym wieku w kraju, w narodzie naszym przemagała. A zatém nie jest czystą fikcją wyobraźni, ale obrazem czegoś, co rzeczywiście było i żyło w narodzie. Na tém tedy tle rzucił autor wymyśloną osnowę swoję, i w tém największą też upatrujemy zaletę jego powieści, że wszelkie wydarzenia wywołują tu cały szereg pokrewnych zwyczajów i obyczajów staropolskich, czy to z życia publicznego, czy domowego zacisza; że się przeplatają wspomnieniami miłemu sercu kazdego czytelnika, a krom przyjemności téj oraz obznajmiają go w łatwy sposób z rzeczami, które tylko przez długie wglądanie do zabytków przeszłości przyswoić sobie i poznać można. Powiadam, główną zaletę Tajkurów upatruję w tém, że są pouczające Ale pouka nie jest zadaniem ostatniém sztuki, i nie zdolna ona uchronić utworu wyobraźni od zarzutów ujemnéj krytyki. A takich wiele tu zamierzamy uczynić.

Główny pomysł, pierwszy mówię zarys i założenie całe téj powieści jest niezawodnie szczęśliwe. Autor chciał nam dać obraz wieku Jana Kazimierza ze wszystkiemi odcieniami różnic, jakie zachodzić mogły i między charakterami osób, epoki owéj i między stosunkami życia owczesnego; a co większa, oparł ten cały zbiór pomysłów swoich na podstawie publicznego powodzenia

i na zawikłaniu wojen i napadów Rakocego na Polskę. Zakreślenie takie epiczne dało autorowi sposobność, wiele rzeczy takich wciągnąć w tok opowiadania, które bezpośrednio do osnowy pierwotnéj nie należą, opisane przy niéj jednak słusznie być mogły, jako epizody nie różnorodne głównemu zamysłowi autora, kiedy równie jak i on odsłaniają rozliczne strony przedmiotowego życia i historyzmu dawnych obyczajów. Zaprzeczyć nie można, że ogarnął autor wyobraźnią wszystko to, co w ówczesnéj epoce żywotną było treścią i co czasy owe właściwym kolorytem pociąga. Z jednéj strony fermentujący jeszcze w umysłach zawrot sekciarski; skłonność niektórych panów korony i Litwy ku ludziom nowe nauki obnoszącym po kraju; wykrycie pobudek, jakie do różnowierstwa skłaniały. Tam znowu wystawił w kasztelanie Mieleszce ów upadek obyczajów, jaki w czasach Jana Kazimierza już zaczynał się; osławioną pijatykę, oryginalną dziwaczność niektórych możnych panów, którą my dziś ledwo rozumiemy, a która pomimo excentryczność swywoli, nie była przecież całkiem pozbawiona głębszych uczuć i popędów szlachetnych, tak iż trzeba było tylko sposobności, aby się i ta druga strona charakteru odkryła i odsłoniła pod pokrywą hulatyki barwy nader posępne, nader poważne, czasem nawet wielką duszę znamionujące Daléj wciągnął autor w zakres powieści swojéj ów cichy, marzący prawie kierunek religijny, jaki dziś może przesadzony przy obyczajach naszych by się wydawał, który jednakże w owych czasach głęboko był wkorzeniony, i cechował najpiękniejsze dusze niewieście. Nie zapomniał obok wspaniałego obrazu możnych dworów świetnych przepychem, gwarnych dworzan bezlikiem postawić i opisu małego dworca skromnéj rodziny szlacheckiéj, i tych cichych cnót domowych, jakie się pod tą poziomą strzechą przechowywały. W epizodach wreszcie maluje niepewność publicznego bezpieczeństwa, która siły wewnętrzne kraju naszego nieustannie targała; niemoc sądów, aby temu zapobiedz; daje obraz prawniczego porządku, napuszonego formułami, bezsil-

nego w rzeczy istotnéj, a często nawet zręcznie odkrywa śmieszną stronę charakteru Pana Rejenta, który jest jakby gatunkowym typem prawniczego żywiołu w dawnéj Polsce. —

Oto motywa, z których rozwinął Tarsza osnowę swojéj powieści. Jak powiadamy, bogaty i szczęśliwie pomyślany jest najrozleglejszy jéj układ. W bieglejszéj ręce z planu tego i materyału wykonaćby się dała prześliczna całość i znakomita kreacja. Tymczasem jak rozkład i pomysł chwalimy, tak nie możemy przemilczeć, że wykonanie, i to wszystko, co się w sztuce formą nazywa, jest w Tajkurach bardzo słabe, bardzo ułomne! — Niepodobno nam w szczegółach rozbierać wydarzeń treść dzieła stanowiących; powieść bowiem zbyt jest obszerna, abyśmy na tém miejscu dać mogli całkowity jéj rozbiór. Powiemy tedy tylko w głównych punktach, w czém mianowicie strona formalna Tajkurów schybiona jest i popsuta Przez formę rozumiemy bardzo wiele rzeczy; nietylko styl, nietylko koloryt i wynalezienie sytuacyi, ale nawet utworzenie charakterów, wraz z ich przeprowadzeniem konsekwentném przez cały zamęt wypadków. Ganiąc tedy to wszystko w Tajkurach, pojmujemy bardzo jasno, że odmawiamy dziełu temu wszelkiéj prawie wartości estetycznéj. Kiedyśmy czytali tę powieść, na każdéj prawie stronie uderzał nas pewien pośpiech, niespokojność, niecierpliwość, dla któréj autor nie odmalował żadnéj sytuacyi w obecnych czytelnikowi szczegołach; nie zatrzymał się nigdzie, aby nadać pomysłowi swemu ową pełnię inkarnacyi, jaka jedynym jest warunkiem plastyki utworów artystycznych, aby ucieleśnić charakter wprowadzonéj osoby w kształty żywego życia, rozwiązać mu własny jego język, odsłonić ruch wewnętrznéj jego myśli. Wszędzie i za wszystkich woli autor sam mówić, sam opowiadać co czynią, a że się widocznie spieszy i pędzi niecierpliwie do końca, ztąd o wielu rzeczach nawet z ust jego nie usłyszeliśmy objaśnienia, co wszystko nadaje powieści téj jakiś niemiły koloryt niewykończenia, nieładu i zaniedbania. Prawie

nigdzie nie stawia nas autor twarz w twarz przed ludźmi swego utworu; abyśmy się raczéj sami przypatrzyli i przysłuchali ich czynom i słowom. Nieustannie czujemy się jakby przegrodzeni grubą ścianą od nich; wszystko co wiemy, powiedział nam autor, a powiedział zaledwo w treści, w wyciągu, dla tego choć powiedział o wielu rzeczach, powiedział nadzwyczaj nie wiele. Inaczéj wykonany jest Korzeniowskiego Spekulant. Tam każdy krok, każde słowo, każde usposobienie charakterów dzieje i rozwija się skoncentrowane w chwilach, gdzie my przy tém jesteśmy obecni; autor nie tyle jest opowiadaczem, jak raczéj przewodnikiem naszym, który nas oprowadza po świecie swéj wyobraźni. W powieści Tarszy spodziewamy się ciągle, że zdarzy się jeszcze lepsza sposobność: gdzie będzie można poznać należycie ludzi Tajkurów — gdzie tam! tom czwarty się przeczytał, a my nic sami nie widzieliśmy, nikogo nie znamy inaczéj, jak przez trzeciego, z powieści! W ogólności nie ma w Tajkurach żadnego śladu dramatyczności, która w powieści tyle jest pożądaną; — nie ma równie nigdzie obrazów duszy ludzkiéj, które świat sztuki właściwie czynią przejrzystym: wszędzie tylko prozaiczna dziejowość, pospolite opowiadanie. A co najwięcéj uderza, to, że opowiadanie to wykonane jest stylem tak niedbałym, tak bladym, powiedziałbym — zaśniedziałym! Nie można pojąć, jak Tarsza, którego dawniéj właśnie dla piękności stylu i poprawności wyrazu tyle chwalono, mógł przenieść na sobie, zapisać tyle papieru dykcyą tak nieczystą i niesmaczną. Dialogi podobniejsze do małych rozrywek, do artykulików w gazecie, niż do żywéj rozmowy ludzkiéj. Charaktery wprowadzone na scenę, tak są niewykończone, że ani są prawdziwe, ani nieprawdziwe; jak n. p. ów kasztelan *Mieleszko,* którego tu tém bardziéj wspominamy, że właśnie na tych datach, jakie rzucił niedbale autor o nim, wykonaćby można imponującą postać wieków dawnych. Inne figury podobniejsze do Homuncula w Fauście, którego tam jak chemiczny dekokt sporządzają i tworzą według recepty. I tak: *Kowak*

jest osobą tak niezgodną w sobie, człowiekiem tak różnego lica, że tylko za pomocą podpisu autorskiego pod tym portretem historycznym, wmówić wreszcie w siebie można, że to człowiek, co ma uroszczenia do życia i indywidualności. Zwyczajnie w zakreślaniu charakterów téj powieści tak sobie poczyna autor, iż ponastawia najrozliczniejsze data, najsprzeczniejsze rysy jedno przy drugiém, i potém z tego wszystkiego jednę postać przed nami skleja. To téż nie ma w charakterach tych żadnéj jedności, żadnéj, że tak rzekę, kohezyi, jaka w każdym organicznym charakterze, przez jedno życie, jedno oblicze, jeden kierunek się wybija na zewnątrz: widać, że istną i gadają te osoby tylko dla tego, że im autor tak kazał. Odejm autora, a rozpadną się z kupy. — Sytuacye także jak najnieszczęśliwiéj tam powymyślane. Jeśli są naturalne i z życia wzięte: to z życia najpospolitszego, wypłowiałego codzienną atmosferą jesieni, gdzie ani upał słońca, ani ulewy deszczu, ale jakaś szara powłoka zapełnia powietrze. Życie takie może w świecie rzeczywistym czasem i bywa; ale inne przedmioty tam czekają poetę; innych kolorów trzeba mu dla obrazu poetycznego! — Jeśli sobie nie umie wybrać, tylko to co płowe i niestósowne, cóż po jego poezyi? Któż uczy pszczołę dobierać soków z pomiędzy kwiatów tysiąca? Że jest pszczołą, wie czego jéj trzeba. Kto jest poetą: ten nie dotknie się poziomego wzoru w życiu lub naturze; to tylko do przybytku pracowni swojéj znosi, co jest pełne znaczenia, wagi, piękności. Nie jedno tam wreszcie być może niewzniosłe; ależ *znaczące*, ależ ważne być musi. Przeciwnie pospolitość bez znaczenia, codzienność bez głębokości: — to dla poety to samo, co dla snycerza kawał cegły, z któréj nieciosają się posągi! Nawet starodawny zabytek nie wart pióra poety, jeśli nic w nim nie ma charakterystycznego, nic uroczystego; jeśli nic za nim nie mówi, jak głucha liczba lat. W tém Tarsza najwięcéj błądzi, nietylko w Tajkurach, ale i w innych swych dziełach. Dla niego dosyć, że kronika lub szpargał jaki coś potomności podaje; już on nie pyta, czy jest w tym

zabytku, zwyczaju, zdarzeniu jaka myśl istotna, głębsze znaczenie, tętno wieku i t. p. Autor zdaje się wnioskować, że skoro tak dawniéj było, a więc już dla tego samego musi być dobre, aby je dziś ożywić; i jeżeli już nie w rzeczywistości na nowo przywrócić, to niech figuruje w powieści! Pobudki wnioskowania takiego szanujemy; bo świadczą o uczciwości wielu uczuć: ale przeciwne ono jest zasadom sztuki, i psuje cały utwor, nadając mu jakąś powłokę codzienności, prozy, posuchy.

Są jednakże zajścia i wydarzenia w Tajkurach, wyższe po nad świat zwyczajny, wydarzenia kierowane potęgą nadprzyrodzoną, rozcinające trudność położeń ludzkich jednêm wszechmocnêm *Stań-się*. Są jednêm słowem cuda. Autor spodziewał się zapewne tym sposobem podnieść ten skąd inąd poziomy świat wyobraźni swojéj; sądził że postawi go przez to na wyniosłości prawdziwéj poezyi, iż go wprowadzi w styczność z porządkiem i mocą nadprzyrodzoną. Zdaje nam się jednakże, że strona cudowności w Tajkurach jest najsłabszą i dziełu najwięcéj zaszkodziła. — Czujemy obowiązek wytłumaczenia się gruntownego w téj mierze. Gdyby uczynił kto do nas pytanie, czy cudowność w ogóle może mieć miejsce w utworach sztuki: odpowiedzielibyśmy, że nietylko z zasadami sztuki się zgadza, ale nawet jest jedną z najsilniéj działających onéj tajemnic. Zadaniem sztuki przedewszystkiém jest w każdym zarysie, w każdym szczególe dzieła odsłonić obecną przytomność tego tchnienia prawdy i sprawiedliwości, które w wielkim rozmiarze rządzi światem, rządzi historyą, rządzi życiem człowieka, a często nawet przy pojedyńczym jego uczynku głosem sumienia przemawia. Te rządy prawdy i opatrzności objawia sztuka w rozmiarze mniejszym wprawdzie, ale za to têm oczywiściéj, przytomniéj. I ztądto umysły pogrążone w strapieniu i przykrościach; umysły blizkie rozpaczy, które wszelkiego zawodu w rzeczywistêm życiu doznały i których głos prośby zdaje się jakby nie sięgał już niebios — takie mówię umysły czują zwyczajnie mocniéj od wszystkich innych,

jaka ulga i pokrzepienie ducha owładnie serce pod wpływem porywającéj w górę muzyki, poezyi i wszelkiéj w ogóle sztuki. O czém wątpią i rozpaczają w rzeczywistém życiu, to znajdują w sztuce w całéj obecności i potędze. Jeżelić więc wszelka sztuka dążyć do tego powinna, aby nietylko *związek* świata duchowego z światem zewnętrznym odsłonić, ale nawet aby *przytomność* (co jest więcéj niż styczność i związek) jednego w drugim wyrazić: tedy łatwy ztąd wniosek, że cudowność jest ze sztuką prawie téj saméj natury, gdy i ona niczém inném nie jest, jak manifestacyą widzialną i niezawodną świata duchowego w świecie ludzkim. Jednakowoż uczy historya sztuki, że nie łatwą to jest dla poety, umieć szczęśliwie i w porę użyć téj potężnéj sprężyny. Im więcéj niepojęty i niewytłumaczony, im więcéj tajemniczy jest świat cudowności, tém trudniéj człowiekowi, mieć go na rozkaz ku pomocy tworzącéj swojéj wyobraźni. Bo niedość go *wciągnąć* w zakres kreacyi poetycznéj; to łatwo. Ale trzeba umieć go tak *zlać* tak *wcielić* w arcydzieło swoje, iżby w to zlanie uwierzył każdy, kto je czyta, słucha, rozważa. Wiary trzeba w cudowność, jeśli cuda nie mają być fantasmagorią i igraszką orientalnéj fantazyi! — Już starożytni nie zawsze szczęśliwie uciekali się do odsłonienia wpływu świata duchowego na świat rzeczywistości. Często pojawienie się Bogów w starożytnych trajediach jest intercessią gwałtowną i psuje naturalne rozwiązanie założonéj walki pierwiastków. W Eschila Eumenidach cudowność jest wypływem wiary tego surowego w zapatrzeniu swojém poety, i podnosi rzeczywiście kolossalny jego utwor. Ale Sofoklesa w Filoktenie pojawienie się Herkulesa jest raczéj podobne do cięcia mieczem w gordyjski węzeł, i psuje wszystko. Szekspir z przerażeniem i wzruszeniem tajemném widzów wyprowadza na scenę cień Cezara i ojca Hamletowego; znał poeta ten tajniki serca ludzkiego, i pomysły jego podbijają nawet umysły wrażeniom takim zamknięte. Wolter przeciwnie przy białym dniu wywleka gwałtem z grobu straszydło Sardanapala, i nie przeraża, ale roz-

śmiesza prędzéj widzów tą tak niewcześnie zaimprowizowaną cudownością. — W literaturze naszéj nikt lepiéj pono nie odgadnął tajemnic świata duchowego w poezyi, jak autor Irydiona. Kreacye jego mistyczne *w Irydionie i Komedyi* poczęte są przez wiarę, przekonanie i głęboką wiedzę tego, w imieniu czego w świat widzialny wkraczają. — Inaczéj rzecz się ma w *X. Marku* Juliusza Słowackiego. Tam cuda a cuda, dziwy a dziwy — szkoda tylko, że im nikt nie wierzy. Słowacki pochwycił coś od Mickiewicza o potędze ducha, i jak zaczął przez ducha tego guślić, zdaje się, że wywija nim jak narzędziem rzemieślniczém, jak kielnią mularską: — przez ducha zabija całe hufce wrogów; dobrze że nie powiada, jak się to stało, bo byłoby jeszcze więcéj przyczyny żałowania, że talent tak silny, z tak energiczną wyobraźnią, zmarniał nakoniec na pracach bez celu, na pieśni bez słuchaczów, na doktrynie, w którą ani kto inny ani on sam pewnie nie wierzy!

— Jest zaiste w duchu człowieka, że tak powiem miejsce, gdzie zamieszkuje potrzeba i tęsknota i wiara w potęgę świata tajemniczego, niewcielonego w żadne kształty, niewypowiedzianego żadnym głosem. Miejsce to, nie jest w sercu, nie jest w rozumie, nie jest w woli; — ukryte ono jest niejako na samym spodzie całego we wszystkich władzach swoich skoncentrowanego ducha. Żaden systemat, żadno przekonanie, żadna wreszcie religija nie potrafi przemodz na umyśle człowieka, aby ta tajemna struna, głucha zazwyczaj, gdy inne władze we wrzawie, nie miała odezwać się niekiedy, trącona wypadkiem nieraz małym, pobocznym, ale przeważnym w skutkach. Zająknie ona natenczas, a najpotężniejszy, najhardszy umysł uchyli czoło w obec jéj głosu i uczyni zadość tajemnéj ducha potrzebie. Grom potężnego organu, puste a pełne ciemnych wspomnień miejsce, późna godzina, jest i innych wiele okoliczności, które wywołują w umyśle człowieka wyobrażenia, dla których za dnia, wśród ludnéj wrzawy nie ma przystępu. Miałyżby one jednak być złudzeniem dla tego, te wy-

obrażenia tajemne, śpiące na dnie ducha ludzkiego? Rzeczywistość ich i prawdziwość do tego posuwam stopnia, że nie wydaję ich za prawdy psychologiczne tylko i subjektywne, ale za istnienia będące przez się, trwający i wiekujące o własnéj swojéj sile i prawdzie. Duce ludzki, będąc mikrokosmem zupełnym, a zatem nietylkh zwierciadłem zmysłowego świata, ale oraz nadzmysłowego i że tak powiem przyszłego, odbija prawdy przeczucieo swojém mniéj więcéj wyraźnie, mniéj więcéj świadomim w miarę okoliczności towarzyszących i całéj podstawe indywidualnéj umysłu. Skoro je jednak odbija nie jedno indywiduum, ale cały zbiór gatunkowy ludzi, umysły wszystkie: już to dowodem jest, że to, co się odbija bynajmniéj nie jest tylko subjektywném i psychologiczném, ale ma własną swoją (choć idealną) prawdziwość i rzeczywistość.

Jeśli jednakże uznajemy wpływ świata duchowego na rzeczywisty, jeśli przypuszczamy, że może on być i w dziedzinie sztuki jedną z najsilniejszych dźwigni poetycznéj fantazyi: dodajemy wszelako z przyciskiem, że nie godzi się środkiem tym szafować bez potrzeby, zwłaszcza jeżeli umysł poety jest niepowołany do tego. Bo nic łatwiejszego, jak w tym względzie spłodzić najpotworniejszą karykaturę. Wszelka duchowość w niezgrabnych rękach zamienia się albo na kuglarstwo, albo (jeśli się to dzieje w dobréj wierze) na coś podobnego do tych obrazów, które stawiamy nadedrogą, lub po wiejskich kościółkach, do których wprawdzie proste serca modlić się mogą, ale które świętokradztwem by było posyłać na wystawę obrazów, i zawieszać obok syxtyńskiéj Madonny. W porównaniu nieprzesadzam, bo publikowanie powieści narodowéj, w podobnym sposobie napisanéj, nie jest niczém inném, jak wystawieniem dzieła w literackiéj galeryi. Edward Tarsza nie otrzymał w podziale daru, za pomocą którego umiałby rozpostrzeć w okół kreacyi swoich ono magiczne światło, gdzie łamią się cienie i występują na jaw widzialnie odblaski pojęć i wyobrażeń ukrytych w głębi ducha ludzkiego.

Nie panuje on nad tą, iż tak rzekę, nocną stroną umysłu czytelnika. Dla tego nie ma prawdy żaden utwor jego dotykający krain pozarzeczywistych. Pisarze tacy, którym w tym względzie dajemy wyższość nad Tarszą, inaczéj przystępują do malowania scen nadprzyrodzonych. Przedewszystkiém widać u nich dążność, aby czytelnik do tego był przygotowany, co ma ujrzyć odsłonione z pod powłoki stosunków codziennych i naturalnych. Podnoszą go zaraz wstępnemi akkordy do téj wyniosłości, na któréjby zrozumieć mógł tajemną duchów melodyą. Inna atmosfera owiewa cudowne światy, przez prawdziwie poetyczną wyobraźnię stworzone. Atmosfera to jakby nadziemska i uroczysta! Czytelnik natenczas mimowoli czuć musi, że przeniesiono go w krainę, któréj okiem nie widział, którą czasem odgadywał uczuciem — w krainę, gdzie ustają więzy czasu i względów krępujących pochód spraw ludzkich w świecie codziennym a zaczyna się władza obecnéj prawdy i tego, co niepojęte. Wtedy nie dziw, że patrzy z wiarą i zachwyceniem na to, co mu wieszcz natchniony objawia. Uniesion z świata, w którym biedzi się codziennie i pasuje zwykle bez zwycięstwa, często bez nadziei; postawion w obec kreacyi niepojętych, ale przenikających serce jego na wskroś, czuje on natenczas, że ogląda twarz w twarz to, czego się w zgiełku życia niejasno domyślał i ledwo odgadywał przeczuciem. Tak nam odsłania cudowne swe światy Dante, i takim tylko kreacjom przypisujemy prawdę. — Przeciwnie Edward Tarsza. Wiadomo, że jest on nie tylko wielbicielem, ale i naśladowcą Walterscotta, powieściopisarza całkiem rzeczywistego, przedmiotowego, którego dla téj właśnie plastycznéj przedmiotowości, dla tego historyzmu życia tyle wynosi w krytycznych pracach swoich, gdzie tylko nadarza się sposobność. Już to samo okazuje, że wyobraźnia skierowana jest przedewszystkiem na odtwarzanie życia przedmiotowego, co téż we wszystkich jego pracach poetycznych potwierdza się. Gdyby przy tém pozostał, nie wymagalibyśmy od niego wyższego znawstwa sztuki, jakie niezbędne jest każdemu

kto stwarzać chce sytuacje i postacie krainie ducha i cudowności przynależne. Ale musimy tego wymagać, gdy tak jak w Tajkurach, naraz do tego rodzaju poetycznego stwarzania posuwa się. A przedewszystkiém razi nas tu, że rzeczy nadprzyrodzone, rzeczy najgłębszéj wiary, najcudowniejsze z cudownych, płącze z wypadkami codziennemi, i to jeszcze z tym zwykłym sobie tonem oschłym, pospolitym, prawie śpiącym, który wyżéj zganiliśmy, jako przeciwny — nie powiem poezyi wyższéj ale nawet zwyczajnéj belletrystyce. Jednym zamachem ręki opisuje np. w szczegółach najpospolitszych widok natury, skałę, pieczarę i t. d., a zaraz obok tych grubo zmysłowych rzeczy daje obraz modlącéj się pustelnicy, która uniesiona w powietrzu, niedotyka kolanami kamienia, na którym się modli. — Ramy tego niepojętego obrazu są jak najpospolitsze; przybory jakby do sceny, która nic niezwyczajnego w sobie nie mieści. — Opowiada dziw ten, jak rzecz zupełnie naturalną, która się co chwilę powtarza. W innémzn ów miejscu wprowadza nas w pośród hordy tatarskiéj, uprowadzającéj kobietę. Nie ma dla niéj nadziei ratunku, horda uchodzi spiesznie, obrońcy żadnego nie ma. W tém branka z zanadrza wyjmuje obraz Bogarodzicy, i w téjże chwili Tatar spada z konia, branka staje się niewidzialną nietylko jemu, ale całemu orszakowi: szukają jéj, lecz zamiast znaleść, oddalają się coraz więcéj. Wydarzenie to wystawił Tarsza także jako fakt przedmiotowy, nieuzasadniwszy podobieństwa jego ani w duszy osób, które w scenie téj działają, ani też w wyobraźni czytelnika. Ramy, w jakich je zakreślił, grube, rubaszne, a nawet delikatny smak rażące, tém więcéj obrazowi nadają fałszywego światła i tonu, który i najlepszy pomysł mógłby popsuć. Aż odrazę budzi szczegółowość, z jaką opisuje „ów obrzydliwy smród ścierwa, trzymanego pod siodłem Tatara“ (!), zwłaszcza jeżeli nie przepomnimy, jakie wydarzenie zaraz nadprzyrodzonym sposobem tu ma nastąpić. Z tych tedy wszystkich powodów, choćbyśmy też i przypuścili, że się ono stało rzeczywiście; nigdy

nie zgodzimy się na to, aby tak się stać mogło, jak to autor wystawia. Bo sposób i wszystkie towarzyszące wydarzeniu temu okoliczności tego są rodzaju, że nawet nie dotknęły usposobienia duchowego owych uprowadzających. Tracą ją z oczu, nie wiedząc za czyją sprawą, czemu? Ślepota wzroku fizycznego, nie jest wypływem przejrzenia lub zaćmienia moralnego, ale jedną z tych gwałtownych intercessyi, które w sztuce *Deus ex machina* nazywamy. Jeżeli więc już zajście to jako rzeczywisty nawet wypadek, obrane jest z warunków, pod któremiby jedynie wydarzyć się mogło, a któremi jest głębokie pojęcie znaczenia wszelkich zdarzeń nadprzyrodzonych: — tém bardziéj ono jest niepodobném i schybioném jako fakt poetyczny. Dla tego jedném słowem, że nie jest w żadnym związku ani z założeniem całości, ani z wypadkami poprzedzającemi tę scenę. A gdzież więcéj na ład, pochód ścisły i jedność wykonania uważać należy, jak w obrębie sztuki? Lubo usprawiedliwia się w przypisku autor, że wypadek ten osnuty jest na jakiémś przynajmniéj podobieństwie z rzetelnemi podaniami ludu: — jednakże od zarzutu przez to się nie uwolnił. Bo podanie najprzód jest co innego, jak scena w tok powieści wprowadzona, która przez to samo, że jest częścią powieści, przestaje być podaniem, a rości prawo do rzeczywistego znaczenia. Prócz tego zaś poety i powieściopisarza zadaniem nie jest bynajmniéj, powtarzać to na oślep, co lud prawi, tak jak prawi; ale dopatrzyć na spodzie gadki jego, (zwyczajnie zamykającéj głębokie znaczenie, choć wprawionéj w formy prostacze i niezręczne), téj wyższej myśli i dążności, dla jakiéj ją przez tyle lat przechowywał. Dążność i myśl gadki zachowując, powinien poeta przyoblec ją w nowe, przejrzystsze, godniejsze jéj szaty, odrzucając to wszystko, co do okruchów gliny i piasku przyrównane być może, zmięszanego z ziarnkami czystego kruszcu. Wiąże się to znowu z tém, co wyżéj powiedziałem o kopiowaniu rzeczywistości. Sposób, jakim się opowiadają pomiędzy ludem wydarzenia przeszłe i podania, to także rzeczywistość!

Jak nie wolno jest poecie niewolniczo kopiować rzeczywistości, ale raczéj zadaniem jego jest, odtwarzać ją w przeczyszczonych barwach, pracą wyobraźni samodzielnéj: tak téż niech nam nie powtarza podań ludu żywcem, tak jak je od ludu usłyszał; lecz raczéj niech je przetopi w ogniu myśli swojéj wewnętrznéj, i oczyszczone od wszelkiéj skazy i śladów proroctwa, jako złotą prawdę przed szerszą i oświeconą publicznością stawia.

Wiadomosci bieżące.

Wyszła z druku w Poznaniu u Stefańskiego: *Mowa podczas nabożeństwa żałobnego za duszę ś. p. Doktora Karola Marcinkowskiego, miana w kościele Śéj Maryi Magdaleny w Poznaniu dnia 19. Listopada 1846. przez X. J. C. Janiszewskiego.* Ogłoszenie téj mowy podaje nam sposobność poświęcenia kilku wyrazów pamięci człowieka, którego zawsze stawialiśmy między najzasłużeńszymi i którego stratę do głębi duszy czujemy.

Już nie jedno pióro skreśliło dzieje krótkiego, a tak zapełnionego żywota nieboszczyka; przytomny jest pamięci wszystkich obraz tego zawodu, w uczciwem ubóstwie rozpoczętego, wzbogacanego bezprzestannie w siłę i zasługę i kończącego się u szczytu zaufania i szacunku ludzkiego; powtarzają jedni drugim jak się wzniósł Marcinkowski po szczeblach gorliwéj naprzód pracy i zacności obyczajów na uniwersytecie, potém samodzielności w pierwszych chwilach oddania się praktyce lekarskiéj, daléj zapału i tęgości moralnéj w czasach walki za ojczyznę, daléj jeszcze wytrwania w poważnych zajęciach na wygnaniu, w końcu kłopotliwych ścierań się za powrotem do kraju, z niechęcią a częściéj z lekkomyślnością współobywateli. Dziś nie ma nikogo, ktoby głośno nie przyznawał, że w miłości, poświęceniu, wytrwałości, wysokości moralnéj, szlachetnéj niepodległości charakteru, bezinteresowności, prostocie, pogardzie dla blasków i dla wygód ziemskich nikt go u nas nie przewyższał. Rzetelne to i dobrze zapracowane uwielbienie, ale jeszcze nie dosyć do zupełnego wymiaru sprawiedliwości.

Marcinkowski nie odznaczył się dziełami jakie zwykle ludzka chwała na kamieniu przechowuje; czyny jego jakkolwiek próbą pozagrobową na wartość czystego złota wypróbowane, nie mają wiekowych rozmiarów; nic zarobił on sobie na głośność między ludźmi ani na polu bitwy, ani na mównicy, ani w dziedzinie nauk, mimo że wszędzie jak przyszła pora zaszczytnie występował; nawet lekarska zdolność, choć bardzo znamienita, nie stanowiła jego głównéj wartości. Zkądże więc ten niesłychany wpływ za życia, zkądże to tak wielkie wrażenie zgonu, że zdało się każdemu w krainie rodzinnéj Marcinkowskiego jakoby osierociał; jakoby wszelkie pomoce do dobrego ubyły? O to tacy ludzie i jedynie tacy ludzie jak Marcinkowski zdolni są coś zrobić śród nieszczęśliwych okoliczności, w jakich nas Opatrzność postawiła.

Kiedy dla narodu jakiego zamknięte jest pole zasług historycznych, kiedy się w nim jakoby zatrzymało życie zewnętrzne, kiedy zwątpienie zaczyna serca szlachetne ogarniać a siły u słabszych omdlewają, kiedy wszystko samolubstwo, wszystkie niedołężności mętami wydobywają się na wierzch, wtedy trzeba ludzi, coby wielką miłością zagrzani, wiarą w obowiązki podparci, wzięli sobie za powołanie podnosić ducha, łączyć, ożywiać i wskazywać gdzie idą drogi powinności, zawsze otwarte z woli Pana Boga, zielem i badylami nie zarosłe, coby nie ulękli się rozwielmożonych złych instynktów, nie upadli pod potwarzą, nie ustąpili pola obrażonym miłościom własnym, nie zrazili się niewdzięcznością, lekkomyślności z drogi nie umknęli, słowem coby statecznie w kierunku raz obranym wytrwali. Potrzeba także ludzi, którzyby chcieli i umieli powszednie, codzienne roboty odrabiać. Wielkich dzieł dokonywać miałby wolą każdy kto tylko czuje rzutkość w umyśle, zaraz do nich niecierpliwe choć najczęściéj nieudolne ręce wyciąga; ale wprządz się w jarzmo tych pospolitych powinności, które żadnego uniesienia w sercu nie obudzają, owszem nużą i wycieńczają, które u ludzi częściéj niewiarę jak współczucie napotykają, a małością otrzymywanych na razie wypadków często daje powód do goryczy i zwątpienia w duszy; ale zrozumieć, gdzie są właśnie te obowiązki codzienne i zamiast gonienia za marnym blaskiem ich się z miłością wytrwale uchwycić to rzecz ciężka, trudna, ale to dopiero cnota, to dopiero próba prawdziwéj wysokości moralnéj. Do rzędu takich w każdym kraju i w każdéj epoce rzadkich ludzi liczymy Marcinkowskiego.

Mówią zwykle na świecie, że usiłowania o jakich wspomnieliśmy niewdzięczne są i przemijający tylko ślad zostawiają. My inaczéj mniemamy. Świetniejsze roboty są często jak kamienie co wpadając w wodę, wielki plusk wydają i znaczą szerokie wprawdzie, ale niknące koła; wytrwałe zabiegi powszedniéj cnoty przypominają nam siejbę; ziarna w cichości na rolę rzucone, na rolę często suchą i kamienistą, kiedy się ugór deszczem niebieskim użyzni, obfitém kiedyś zazielenieją żniwem. Owoce pracy Marcinkowskiego czy już nie są widoczne? Czyż nie skojarzył, nie sprzągł wielu niezgodnych chęci, nie nagiął wielu niesfornych żywiołów, wielkiéj liczby ludzi nie nauczył pracy, skromności, dobroczynności, zmysłu do obowiązku w niejednym nie obudził. Z czasem bogatsze pojawią się następstwa, pokaże się zarazem, że ubył punkt oparcia, ubyła siła ożywiająca i działająca i że przez długie lata nikt braku nie zastąpi, nikt nie zdoła wziąść w rękę osierociałego władztwa moralnego u jednéj części kraju.

Daleka jest od nas myśl utrzymywać, że się nigdy Marcinkowski w działaniu nie pomylił. Wpływy zewnętrzne zdań panujących, albo osobistych skłonności nie raz zapewne u niego przedsięwzięciem kierowały. Zapłacił i musiał zapłacić dług słabości ludzkiéj. Wszakże omyłki rozumowania w niczém pamięci znakomitego męża nie ujmują i nie zmniejszają zasług wytrwałości i poświęcenia, a szczególniéj téj szerokiéj miłości tak silnéj, że się często szorstkością i gwałtownością objawiała. Na najwspanialszych pomnikach znajdą się ślady rdzy, które przypominają tylko że i wzniosłe rzeczy na ziemi skazom podlegają. Bądź co bądź, my w kraju naszym mało znamy ludzi, którychbyśmy życie tak śmiało za wzór do naśladowania podali. Ktokolwiek obiera sobie trudny zawód codziennego obowiązku, ktokolwiek tyle ludzi kocha, żeby się od nich niczego nie spodziewać, ten w chwilach goryczy i zwątpienia, boleści i ciemności niech rozpamiętywa życie dobrego obywatela, który siły przedwcześnie stargał, ale obowiązków swoich bogato dopełnił.

Przejdźmy teraz do kazania X. Janiszewskiego, które ogólnie wielkie zrobiło wrażenie.

Zwykle kiedy w mowach pogrzebowych przytaczane są wyrazy z Pisma Ś., albo używane porównania biblijne, wzniosłość ich i powaga cień wielki na rzeczy teraźniejsze rzuca. W tym razie stało się inaczéj i wzruszenie ogólne dowiodło, że mówca kościelny miał słuszność, kiedy się na wstępie w te słowa odezwał: „Gwiazda po gwiaździe zapada, filar po filarze się łamie, cegła po cegle się kruszy, a my stojąc

i spoglądając na te ruiny i straty, czyż nie możemy razem ze strwożonymi uczniami Chrystusa Pana, z serca przejętego żalem i trwogą, zawołać w chwili żalu i boleści po stracie ś. p. Karola Marcinkowskiego, stracie, która nam tyle innych przypomina: ***Panie, zostań z nami, boć się ma ku wieczorowi, i dzień się już nachylił.*** Tak ma nam się ku wieczorowi, bo chmura na chmurę zaciąga, grom po gromie uderza i światło po świetle gasi; wszystkim nam się dzień pochylił, bo wszystkich przyjacieli ludzkości smutek ogarnął, a pochylił się szczególnie nędzy i biedzie, która na to serce, co się nad nią litowało i na tę rękę szczodrą, co łaknących karmiła i nagich przyodziewała, już garść ziemi rzuciła

Założenie kazania w ten sposób mówca wypowiedział: „Oddając cześć i chwałę cnocie, oddajemy ją Bogu, który jest sprawcą w nas cnoty, przez którego jedynie cnotliwymi być możemy. Nie dziw tedy, że w świątyni pańskiéj na cześć człowieka mówimy, bo nie proch i popiół lub świecące się błoto, ale cnota, któréj życie w wieczności jest naszym przedmiotem, cnota najwyższa, w któréj cały zakon wypełniony, cnota miłości i wytrwanie w niéj aż do końca."

Rys życia Marcinkowskiego tak kreśli:

„Ś. p. Karol Marcinkowski urodził się 23. Czerwca 1800. r. w Poznaniu. Czterdzieści i sześć lat był tylko na téj wędrówce. Krótki wątek życia, ale długi i prawie nieprzerzany szereg uczynków miłosierdzia i poświęcenia. Od chwili, w któréj wstąpił w zawód życia, napiętnował kroki swoje miłością ojczyzny, miłością bliźniego w ogóle. Gdy go zawołała wspólna nasza matka w potrzebie do broni i oręża, stanął w szeregu wiernych jéj synów. Złożywszy oręż jął się znowu pracy; tułactwa nawet samego użył na zbogacenie swego umysłu, z którém powrócił do rodzinnego miejsca i oddał się zawodowi swemu. Sztuka lekarska przeszedłszy przez ogień miłości jego serca, straciła odrażającą barwę rzemiosła i stała się przewodniczką miłości, którą prowadziła nikomu nieznanemi ścieszkami w ciemne zakątki nędzy i biedy..........

„Nie na to czyny wynoszę, mówi w dalszym ciągu, abym serca nasze pogrązone w smutku głębiéj chciał jeszcze potrącać, nie na to owoce miłości, uczynki miłosierdzia tak wielbię, abym przez wielkość straty żal nasz chciał jeszcze powiększać lub niewieścią tkliwość w sercach naszych budzić. Nie chcę tego. Nie ***zwątpienia*** ale ***wiary,*** nie ***rozpaczy*** lecz ***nadziei,*** nie ***słów próżnych*** lecz ***miłości.*** Niech łzy płyną nad tym grobem, niechaj płyną choć potokiem; lecz niech płynie z niémi miłość, niechaj zmiękczy twarde dusze, a oży-

wi martwe serca i pokrzepi zwiędłe czucia. A wtenczas, kiedy to ziarnko przezeń rzucone, padnie na rolę serc naszych, poruszoną wdzięcznością a spulchnioną żalem i łzami, kiedy wznijdzie, wzrośnie i wyda owoce w uczynkach miłości, to będzie dla niego pomnikiem trwałym i nieśmiertelnym, to ofiarą, którąśmy za to dobrodziejstwo Bogu przynieść winni. Dla tego *zostań z nami* Panie, *gdy nam się ma ku wieczorowi*, gdy się siły nasze pochylają, zostań i racz nas wspierać Twą łaską, aby cześć i chwała, którą ci składać mamy, nie była czczém wołaniem: *Panie, Panie!* ale *pełnieniem woli Twojéj świętéj.*"

Oddawszy hołd zmarłemu obraca się mówca do żyjących: „To jest godnym żalem, pożytecznym żalem, naśladować uczynki miłosierdzia tego, którego stratę opłakujemy. O gdybym mógł w téj chwili wydobyć z zimnego już serca Twego, Karolu, choć jednę iskrę téj prawdziwéj i pełnéj czynu miłości ojczyzny i bliźnich, gdybym mógł tym ogniem słowa moje zapalić i ciskać niémi w serca wasze, aby przepaliły i poroztrącały mury i wały samolubstwa i miłości własnéj, które zabraniają wstępu szlachetnym uczuciom do serc świątyni! Wiecie cobym wtenczas uczynił, gdybym mógł przelać tę moc i siłę w słowa moje? Oto paliłbym i niszczyłbym najpierw nie ogniem piekielnym ani ogniem siarczystym Sodomy i Gomory, ale ogniem miłości te pęta i okowy pychy, samolubstwa i próżności często nawet dziecinnéj, któremi znaczna część serc skrępowana; paliłbym i niszczyłbym najpierw te drobiazgowe względy i uprzedzenia ludzkie, które chcą być pierwéj odważone na szali zasługi, nim przystąpią do czynu; paliłbym i niszczyłbym te języki uzbrojone jadem i te sądy na wskróś żółcią przesiąkłe, które lubią kalać, to co jest bez skazy i blask cnoty, którego znieść nie mogą, pyłem nikczemności i podłości potrząsać; paliłbym i niszczyłbym tę złość szatańską, co zrywa najświętsze węzły braterstwa, co rzuca podejrzenia i nieporozumienia, bo przeklęty, *kto sieje rozterki pomiędzy bracią;* paliłbym i niszczyłbym tym ogniem miłości tę pajęczynę hałasu i wrzasku o poświęceniu dla dobra ogółu, gdzie gardło pełne krzyku, a ręce próżne dobrych uczynków."...... „Niechajże tedy ten dzień żałoby dzisiejszéj, jak nas sprowadził na to miejsce święte, tak nas kojarzy i łączy, niechaj pochowa w grobie na wieki wszystkie zatargi, rozjątrzenia i swary pomiędzy bracią; pokażmy, że z głębi duszy i serca miłujemy tę cnotę, któréj dzisiaj cześć publicznie składamy. Dla tego *zostań z nami Panie*, zostań i trzymaj ręką wszechmocności twojéj tę jedność, która tym ciosem obecnym tak gwałtownego wstrzą-

śnienia doznała; bo jedność to moc i siła, a rozerwanie to słabość i niedołężność: *zostań z nami*, gdy się *dzień pochyla*, i ratuj by się nie rozpadło, co się już zbudowało.“

Nie podobna nam nie przytoczyć pięknego ustępu o wytrwałości.

„Nie dość, bracia kochani, dać się chwilowo uczuciom szlachetnym poruszyć, nie dość płynąć z potokiem, który nas gwałtem z sobą porywa i bez trudu niesie; nie, nie tak łatwo zdobyć palmę zwycięztwa. Do tego trzeba walki i boju, trzeba trudu i znoju, trzeba znosić *skwar i upał dnia całego*, aby można znaleść spoczynek na łonie wieczności, jedném słowem trzeba wytrwać aż do końca, bo *ten* tylko *zbawion będzie, kto wytrwa aż do końca.* Nie ten wart czci i chwały, w którego sercu od czasu do czasu zajaśniał promyk miłości i pędem błyskawicy znowu przeminął, bo ktoby tego w życiu nie doznał, nie byłby wart, że nosi oblicze ludzkie na sobie, ale ten, który wytrwał w téj cnocie, a wytrwał aż do ostatniego tchu życia. I ta cnota *wytrwałości*, ta ozdoba męzkiego wieku, zdaje mi się w ś. p. Karolu Marcinkowskim na tém większą zasługiwać pochwałę, im rzadszą jest w charakterze naszym, im trudniejszą wśród nas do wykonania..... Tak, wielbię tę cnotę w tym mężu, bo na grzech przeciwny chorujemy nieoledwie wszyscy, wielbię w nim tę cnotę, bo bez niéj żaden dobry zamiar, żadne chęci, żadne uniesienie ani poświęcenie nie przyniesie owoców. O ile potępiam szatański upór w złości, o tyle wielbię wytrwałość w dobrem. Myśli wzniosłe, uczucia szlachetne, zamiary dobre, przyjmują się w nas szybko, dodają nam skrzydeł, wzbijamy się w górę, ale się wzbijamy na Ikara skrzydłach, bo gdy *skwar i upał dnia* przyjdzie, roztopi siłę i spadamy szybciéj nimeśmy się wznieśli. — Nie łudźmy się bracia pozornym blaskiem. Nie to jest poświeceniem jedynie prawdziwém rzucić się w otchłań przepaści i zginąć, nie to jest poświęceniem jedynie prawdziwém puścić się na burzliwe morze bez steru i żagli, aby śmierć w niém znaleść..... Trudniejszą i droższą nierównie jest cnotą wytrwałość w dobrem. Bo czyż nie łatwiéj umrzeć gwałtownie aniżeli przez długi czas konać?.... Czyż nie łatwiéj być uwolnionym jedną chwilą od ciężaru, który mamy dźwigać, aniżeli ciągnąć wiernie i stale w jarzmie obowiązków najświętszych?..... Wytrwać tedy bracia a wytrwać aż do tchu ostatka w miłości ojczyzny i bliźnich, to jest cnota; okuć sobie w tę cnotę pierś i serce, jak gdyby w pancerz ze stali i rznąć się w imieniu Boga przez wszystkie szeregi samolubstwa i nikczemności, a jednak przynieść

w końcu aż na próg wieczności czyste serce i nieskalane brudem pospolitego życia; to, to jest, czego Bóg po nas wymaga, kiedy mówi: *kto wytrwa aż do końca zbawion będzie;* to jest, co nam się tak w życiu ś. p. Karola Marcinkowskiego podoba, co jest dla nas wzorem, a wzorem najpotrzebniejszym; oby ten przykład nie przeminął marnie..."

Wszystko to jest głębokie i prawdziwe, a że wyrzeczone przy grobie podwójnéj powagi nabiera.

W dalszym ciągu odzywa się mówca do przytomnych obywateli i wzywa ich, żeby nie pozwolili runąć ulubionemu dziełu Marcinkowskiego: Towarzystwu Naukowéj Pomocy. I my w téj mierze głos nasz z głosem kaznodziei łączymy. Towarzystwo Naukowéj Pomocy oddało już wielkie usługi, więcéj ich jeszcze oddać jest w stanie, przemawia za niém wszystko, a to przemawia szczególniéj że istnieje. Jeżli kto mniema, że w tém lub owém znalazłyby się w Towarzystwie niedostatki, niech się stara przekonać innych o potrzebie naprawy, ale niech się nikt nie usuwa od datku, niech nikt ofiar nie zmniejsza. Wielka by przed całym narodem spadła na prowincyą odpowiedzialność, gdyby przez brak gorliwości albo w skutek drobnych rozterek, że nie wymienimy brzydszych powodów samolubstwa i twardości tak pożyteczna instytucya upaść miała.

Nie dotknęliśmy jeszcze delikatnego przedmiotu, strony religijnéj w Marcinkowskim. Ze smutkiem przychodzi nam powiedzieć, że człowiek taki wysoki nie pojmował, nie kochał religii; wszakże my go nie sądźmy, zostawmy tę rzecz miłosierdziu Bożemu, a sami powtórzmy ostatnie wyrazy kazania:

„Panie Jezu Chryste, któryś dla nas postać sługi przyjąć i krew Twoję najświętszą na okup grzechów naszych na drzewie krzyża przelać raczył; któryś powiedział: *coście uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszemu, mnieście uczynili;* któryś nikogo nie odrzucił od siebie, kto się tylko miłosierdziu Twemu poruczył, racz wysłuchać modły nasze, prosimy Cię przez mękę i śmierć Twoję, racz spuścić kroplę łaski i miłosierdzia Twego i na duszę tego, który wedle woli Twojéj Ś., czynił najmniejszym braciom Twoim dobrze, i zgotować jéj u Siebie odpoczynek wieczny."

Jako objaśnienie do artykułu pierwszego w dzisiejszym naszym numerze, podajemy wiadomość o świeżo wyszłéj broszurze P. Cyprian Robert p. t. Les Deux Panslavismes.

— Situation actuelle des peuples Slaves vis à vis de la Russie. Paris et Leipzig 1847.

P. C. Robert stara się rozróżnić dwa Panslawizmy.

„Panslawizm, mówi, znaczy w ścisłém określeniu pogodzenie, zbliżenie, a w końcu połączenie wszystkich Słowian w jedno ciało moralne (un seul corps moral). — Wszyscy panslawiści do tego dążą, nastaje tylko zapytanie jakim sposobem, pod jakiemi warunkami zbliżenie się ma nastąpić? Tu zdania zaczynają się różnić i tu powód, że ogólnie w Europie takie niepewne, takie fałszywe wyobrażenia o panslawizmie panują. Różne pojęcia publicystów słowiańskich dają się mniéj więcéj do dwóch systematów sprowadzić. Jedni z własnéj ochoty albo dworacy władzcy północnego odpychają narodowości i marzą o wielkiéj jedności rządowéj dla całego pokolenia. Drudzy szczérzy patrijoci wychodzą z wyobrażeń narodowości odrębnych i jedności tylko w federacyi wolno zawiązanéj szukają. Dwa te systemata tworzą to, co można nazwać *panslawizmem rossyjskim* i *panslawizmem słowiańskim*.“

Nam się zdaje, że właściwie tylko jeden panslawizm, pierwszy z dwóch wymienionych istnieje. Drugi może znalazłby się w wielu poczciwych sercach, ale dotąd siły żadnéj z siebie ani całości uorganizowanéj nie wyrobił.

Na inném miejscu mówi P. C. Robert: „Główna siła, poręka trwania Panslawizmu zależy na tem, że odpowiada on u ludów słowiańskich potrzebie literackiéj i umysłowéj, potrzebie przyrodzonéj więcéj jeszcze jak potrzebie politycznéj. — Choćby nie było na świecie ani wojsk ani państw słowiańskich, panslawizm dla tegoby istniał, albowiem wszystkie te ludy przyciągają się wzajem skłonnością, któréj się oprzeć nie mogą.“

Ku końcowi odzywa się P. C. Robert do Słowian, żeby przedewszystkiem byli Słowianami, żeby języki swoje za pomocą własnych dyalektów oczyścili z obcych wyrazów, żeby czytali wzajem dzieła swoje i zawsze w sielankowéj zgodzie żyli.

Dużo w téj broszurze gadaniny jałowéj, to tylko w niéj ważne, że P. C. Robert jaśniejsze położenie względem wschodniéj Słowiańszczyzny przybrał.

Zdaliśmy w Przeglądzie sprawę z poematu „Kirgiz Gustawa Zielińskiego.“ W téj chwili wyszła nowa edycya tego znakomitego utworu, edycya ozdobna z pięciu litografiami i drzeworytami z rysunków hr. Alexandra R., w Lipsku

u Bobrowicza. (Cena talarów 2). Wydanie jest bardzo piękne i bardzo staranne, litografia i drzeworyty mierne. Litografia Demeli dosyć nam się podobała, ale przypomina w postawie kobiety z Keepeaków Angielskich. Postaci siedzące są jeszcze jakie takie, wszystkie stojące złe, konie w ogóle chybione.